

"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93
tel. 056 65 22 186, e-mail: fapak@wp.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736
KRS 00000 41692
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

MEMORIAŁ

Generał Marii Wittek



Kontakt

Sylvia Berfouska
W-ra 01-923
ul.

H 1581

por.

**SMOLEŃSKA Helena
Barbara**

ps. "Szelma" "Piotruś"

IX 139
AK KQ
Parstanie W.
W-ra Śródm.

3882/MSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3882/USK
SMOLEŃSKA Helena Barbara

I. Materiały dokumentacyjne

- I/1 – relacja właściwa ✓ k. 3, 5. 1-5
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora ✓ k. 4, 5. 1-4
- I/3 – Inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 10, 5. 1-10

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) ✓
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.
- III/5 – Inne...

IV. Korespondencja ✓

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie ksewo

I/1 - Relacja (zyciorys) własna Smoleńskiej Heleny,
rękopiś (ksero) k. 2 s. 1-2 oraz drugi egz.

- Relacja maszynopiś, sporządził Marcin Berłowski, k. 2 s. 3-4.
- Informacje biograficzne, [b.d.], ups. kopia, k. 5



Smoleńska Barbara Helena
Warszawa, ul.

11/11

Lycium

Urodziłam się 25.XII.1910 w Warszawie. Ojciec mój był pracownikiem umysłowym, bez wyższych kwalifikacji.

Wobec trudnych warunków materialnych, dla zdobycia szybkiej możliwości zarobkowania, po skończeniu 7 klas gimnazjum ogólnoklas. przystąpiłam do Państwowego Seminarium dla Nauczycielek Premiosł w Warszawie, które ukończyłam w roku 1930.

Od roku 1930 do 39 pracowałam jako nauczycielka w Państwowym Gimnazjum Zawodowym w Białymstoku, pomagając rodzicom materialnie w kształceniu młodzieży.

Wojna w 1939 zastała mnie w Warszawie. W okresie do 1.VIII.44 zarabkowałam dotywczo, na maksymalnie własne i rodziców, zajmując się szyciem i udzielaniem lekcji prywatnych. Od połowy 1942 r. należałam do organizacji podziemnej - L.W.Z. podkurej A.K., jako koczownicza, następnie jako szprytka w komórce odciążającej meldunki o Lutych Broni. W czasie powstania byłam na oddziale Warszawa - Grodzka / 15.VIII.44 - razem w głównej sztabówce t. zw. "krowy" /. 5.X.44 jako jeńca A.K. / pierwsze dworo- / zostałam wywieziona do Niemiec.

W momencie upadku powstania i niemożności klęski pójścia do niewoli, otrzymałam nominację na porucznika. Łącznie z istniejącą wówczas opinią tylko tego rodzaju "dokumenty" - mogły zabezpieczyć jeńców przed wystawieniem na roboty, a miały zapewnić lepsze warunki bytowania.

Już w obocie podległej w Landsdorfie, gdzie znalazłam się w szerebie ponad 2000 kobiet, utworzyła się Komenda Oboc.

w skład której wstąpiłem jako adiutant. Ja nasze występowanie
niemiecy uważali nas za grupę zorganizowaną i porozumiewali
z szefem poprzez komendę, do którego nas przed wyjazdem
się Niemców do wewnętrznego zorganizowania życia.

Kolejno przestaw szary: Mühlberg, Altenburg, Stosdorf, Blanken-
heim, następnie po uwolnieniu przez wojska ameryk. - Burg,
Farnstadt i Weißenheim.

po wyzwoleniu, w okresie organizowania transportów do kraju, obóz
nasz likwidowano stopniowo, w miarę przyjazdu więcej w tran-
sportach. Istniejąca w obozie szkoła, zorganizowana przez Komisję
przybycia z kraju / przed kłosem, to komisję pomocy odbyła się waku-
ko / miała pozostać do ukończenia programu szk., do tym samym
ustalano także termin ostatecznej likwidacji obozu.

W maju 1946 powołano mi pełnienie obowiązków komendantki
zdekompletowanego / 138 osób / obozu. W lipcu 1946 z ostatnią
grupą wtoczyłem do Polski.

Od stycznia 1947 pracuję w biurze w Ławicy w przemyśle
PnZ - PzR.

Ryszarda

2/113

WYWIAD Z UCZESTNIKIEM WALK O WOLNOŚĆ W LATACH 1939 – 1945

SPORZĄDZIŁ MARCIN BERŁOWSKI

Por. Helena Barbara Smoleńska (ps. Piotruś) urodziła się 25.12.1910 roku w Warszawie.

Pani ta była nauczycielką. Uprawiała wiele dyscyplin sportowych :pływanie, wioślarstwo , łucznictwo i strzelectwo. Mimo niskiego wzrostu (1m 50 cm.) była bardzo zręczna , zahartowana i odważna.

SZP a następnie ZWZ wydała rozkaz by mieszkała w Białymstoku , z myślą o tym, że będzie kurierem między Komendą Główną w Warszawie a Białymstokiem – było to 2 września 1939 roku. Przysięgę żołnierską składała 4 –go września 1939 roku.. Zgodnie z rozkazem pełniła funkcję kuriera. Wielokrotnie przekraczała granicę – zdarzało się, że korzystając ze swojej drobnej budowy podwieszała się pod wagonem kolejowym, który jechał w stronę granicy. Zdarzało się, że spała w lesie najczęściej pod drzewem, w pozycji siedzącej, otulając podkurczone pod brodę nogi długim płaszczem. Pewnego razu, a było to zimą, spotkali ją na drodze Niemcy jadący samochodem. Zapytana, powiedziała, że idzie do rodziny, więc myśląc, że to dziecko pomogli jej wsiąść i podwieźli do odległej miejscowości.

Od maja 1942 roku pracowała jako szyfrantka w V Komendzie Głównej Armii Krajowej. Praca ta polegała na zaszyfrowywaniu i odszyfrowywaniu wiadomości przesyłanych drogą radiową do Londynu. Często punkty pracy mieściły się blisko urzędów niemieckich (np. przy rogu ulicy Żelaznej i Leszna na parterze była jakaś instytucja niemiecka z wartownią, a na którymś z wyższych pięter pracowali ludzie z AK). Codziennie szyfrantka „Piotruś” przechodziła przez wartownię. Wspomina, że najskuteczniejszą obroną w spotkaniach z Niemcami był tupet i pewność siebie. Zdarzały się jednak „wsypy” i „kotły” kiedy to aresztowano ludzi i trzeba było zmieniać lokale (np. na ul. Chmielnej w 1943r.).

W czasie Powstania Warszawskiego walczyła w rejonie Śródmieścia: ul. Wspólna, Koszykowa, Nowogrodzka. Twierdzi, że najgorsze były kanały. Tylko jeden raz szła kanałem i postanowiła sobie raczej zginąć na powierzchni. Zdarzyło się, że zwalony sześciopiętrowy budynek uwięził ją w piwnicy wraz z grupą ludzi. Dwie doby czekali na odgrzebanie. Była pierwszą która zdołała się wydostać przez wąski wyłom w ścianie. Wspomina też, że widziała zawałający się kościół Św. Aleksandra, kładące się wieże. W dniu 15 września została ranna w głowę. Było to na tyłach kina Polonia – pocisk tzw. „krowy” zabił wielu ludzi.. „Piotrusia wyciągnięto nieprzytomnego spod sterty trupów.

Kapitulacja była 2 października 1944 roku. Por. „Piotruś” 5 października 1944r. oddała broń na placu przed Politechniką Warszawską i została wzięta do niewoli. Grupa jeńców, w której się znalazła była ostatnią spośród wychodzących z Warszawy. Ludzi pędzono w stronę Ożarowa. Doszli tam przed wieczorem. Nocowali w hali pofabrycznej. Zabandażowaną głowę trzeba było ukryć pod czapką, bo rannych Niemczy nie brali. Kobiety oficerowie sporządziły listę jeńców – było 1.017 kobiet, było na niej wielu majorów, kapitanów i poruczników. Na komendanta wybrano kobietę majora ps. „Kazik”. „Piotruś” została jej adiutantem, otrzymała wtedy z jej rąk legionowego orzełka, którego potem przywiozła z niewoli. Komenda tej grupy żądała od Niemców traktowania zgodnego z postanowieniami Konwencji Genewskiej – na każdego oficera jeden ordynans. Ordynansów wymyślono po to, by zaopiekować się młodzieńkami harcerkami – nie miały one czyścić butów tylko się uczyć. Niemcy zgodzili się traktować tę grupę jako zorganizowaną i dać jednego ordynansa na 2 oficerów. Przypisać to należy temu, że byli trochę zaskoczeni zdecydowaną postawą kobiet – oficerów, które żądały i groziły, że skompromitują ich przed całym światem. Być może zresztą po raz pierwszy w historii mieli doczynienia z tak liczną grupą oficerów, będących kobietami. Utworzona w ten sposób grupa

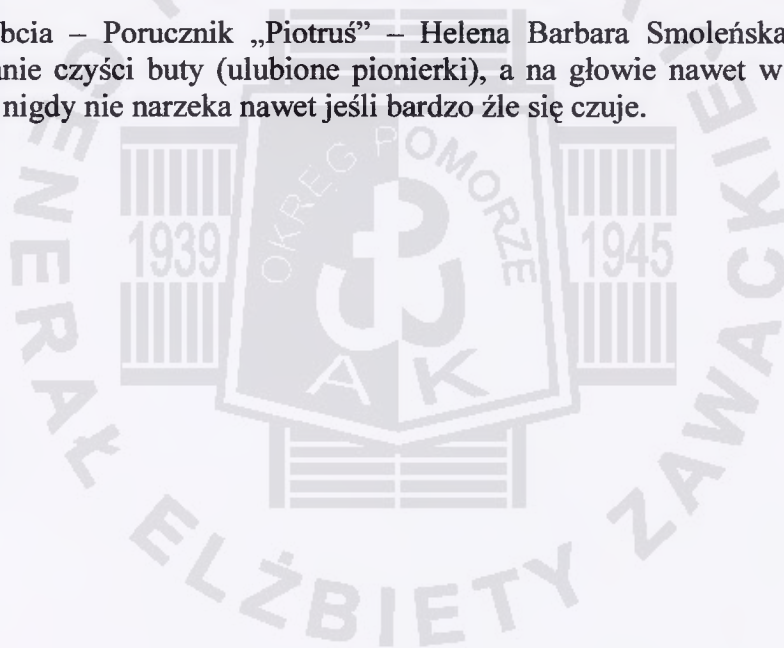
licząca ponad 800 osób została załadowana do bydłych wagonów, gdzie było tak ciasno, że nie można było nawet usiąść. Pierwszym miejscem pobytu był obóz w Lamsdorfie - 8 X 1944r.

Następne to Muhlberg 25 X 1944, Altenburg 23 XI 1944 oraz Molsdorf - 13 XII 1944r. Za każdym razem grupę lokowano przy oficerskich stalagach, w miejscach specjalnie wydzielonych. Kiedy Lamsdorf został omyłkowo zbombardowany przez aliantów, grupa udała się pieszo do Hohenfelden - 4 IV 1945r, a stamtąd do Blankenheim-u 8 IV 1945 r. gdzie już 13 IV 1945 została wyzwolona przez wojska alianckie. Podobno obok tego obozu była wioska Krakau (Kraków). Pani Smoleńska miała łzy w oczach wspominając jak to w czasie bombardowania alianckiego zginęła mała harcerka zwana „Hukiem”, weszła cicho do baraku wczłogała się na prycze i dopiero po chwili koleżanka leżąca piętro niżej poczuła, że z góry kapie jakiś ciepły lepki płyn - była to krew. Nad grobem „Huka” chór śpiewał pieśń „Na obcej ziemi wśród obcych drzew...”.

Porucznik „Piotruś” nr obozowy 106182 była zastępcą komendanta obozu, a po wyzwoleniu komendantem. Pokazała mi najważniejszą pamiątkę z tamtych lat, lnianą serwetkę z pokoju komendanta, na której nitkami wyciągniętymi z ręcznika wyhaftowała własnoręcznie nazwy obozów wraz z datami w jakich była ich grupa, dzięki temu mogła mi je dokładnie podać. Na środku serwetki było kilka sylwetek zwierząt, z których każde oznaczało jakąś koleżankę. Ona sama była kogucikiem, inna, która lubiła leżeć na pryczy i wciąż prosiła o aspirynę była foką, itd..

Moja Ciocia Babcia - Porucznik „Piotruś” - Helena Barbara Smoleńska do dziś żyje jak żołnierz, codziennie czyści buty (ulubione pionierki), a na głowie nawet w największe mrozy nosi tylko beret i nigdy nie narzeka nawet jeśli bardzo źle się czuje.

W-100 1980/81



3
I/1/5



Helena Barbara Smoleńska - zamieszkała w Warszawie, ul. Hajoty 61p.2.

Urodz. 25.XII.1910 w Warszawie - imię ojca Adolf

Przynależność do AK /ASL, ZWZ/ :

od X.1939r. Białystok - Warszawa, kurier, ps. Szelma
od VI.1942r. W-wa V KG /kierowniczka szyfr./ do kapitulacji.
ps. Piotruś.

Ranna w Łowstaniu. Nominacja na porucznika.
Obóz jeniecki: Zambinowice, Lamsdorf, Mulberg, Altenburg,
Molsdorf, Blankenheim i Burg, Darmstadt, Weinheim.
/powrót do Kraju w lipcu 46r./

Z okres do 1942r. Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami.

W-wa 11.XI.57r.

/III.1940 r. do VII.1941
więzienie w Mińsku/

I/2 Dokumenty

- Zaświadczenie Komisji Egzaminacyjnej przy Państwowej Szkole Przemysłowej Śląskiej o odbyciu praktyki, W-wa 1939, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 1.
- Sprawozdanie badań przeprowadzonych w Klinice Medycznej Uniwersyteckiej, Heidelberg 1946, mps, rkps, k. 1, s. 2, j. niemiec. oraz tłumaczenie na j. polski, k. 1, s. 3.
- Legitymacja [nr 882/1] wyd. przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Brzeskiego, Brześć n. B. 1938, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 4
- Legitymacja [seria E1 nr 0102358] wojskowa oficera rezerwy, W-wa 1960, mps, rkps, kopia, k. 1, s. 4



441

KOMISJA EGZAMINACYJNA

PRZY Państwowej Szkole Przemysłowej Żeńskiej
w Warszawie.

Nr 417

Zaświadczenie.

Pani Smolewska Helena
urodzona dnia 25 grudnia roku 1910 w Warszawie
, wyznania wyznania - katol.,
po ukończeniu Seminarjum Nauczycielek Premiost
w Warszawie w dniu 28 czerwca 1930 roku
i po odbyciu dwuletniej praktyki złożyła z wynikiem dodatnim w dniu
19 maja 1939 r. roku egzamin ustalony decyzjami
Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 15.II.1928 r.
Nr III-Z-510/28 oraz z dnia 23 marca 1936 r. Nr III-TP-381/36.
Warszawa, dnia 19 maja 1939 r.



KOMISJA EGZAMINACYJNA:

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI

N. Maria Lewicka

CZŁONKOWIE KOMISJI:

A. Jabłonna

M. S. Szymon

L. Przybylska

Pracownica
H. Grabiec

B e f u n d b e r i c h t

Über

Frau Barbara S m o l e n s k a , geb. 25.12.10.

Frau S. wurde am 21.3.1946 von mir untersucht:
Klagen über Herzklopfen und allgemeine Müdigkeit.

Befund: Blutdruck 120/70 mm Hg. Blutsenkung 7/20 mm.
Blutbild: 75 % Haemoglobin, 3,8 Millionen Erythrozyten,
6 200 Leukozyten. Urin und Sediment o.B..

Elektrokardiogramm: Normales Ekg.

Röntgenbefund: Thoraxorgane o.B. Nadelförmiger Metall-
schatten unmittelbar über der Zwerchfellmitte, etwa 1 cm
vor der Speiseröhre gelegen. Wahrscheinlich ist der Fremd-
körper in der Basis des Herzbeutels zu suchen.

Aufnahme: Yförmiger nadelartiger Fremdkörper unmittelbar
über dem Zwerchfellbuckel, etwa 1 cm vor der Cardia gelegen.
Man sieht bei den Schussaufnahmen, dass der Fremdkörper seine
Lage gegen das Zwerchfell verändert. Er liegt nach der
Durchleuchtung zwischen Zwerchfell und unterem äusserem
Herzbeutelblatt. Schleimhaut im Oesophagus und in der Car-
diagegend einwandfrei.

Urteil: Wahrscheinlich aus dem Oesophagus ausgewandeter
kleiner nadelförmiger Fremdkörper vor der Cardia.

Ich habe damals Belladonna-Pillen und Tinctura amara
verordnet und ~~xxxx~~ die Patientin Herrn Professor Geissen-
dörfer, Chirurgische Universitätsklinik überwiesen.

Bericht der Chirurgischen Klinik vom 22.3.46:

Besten Dank für die freundliche Überweisung Ihrer Patientin
Frau Barbara Smolenska. Wegen Verdacht auf Paget habe ich
zu einer Probeexcision geraten. Patientin will sich nochmals
mit uns in Verbindung setzen.



(Dozent Dr. Spang)
Oberarzt der Klinik

3/2/3

tłumaczenie z języka niemieckiego

nagłówek:

Klinika im. Ludolfa Krehla
Medyczna Klinika Uniwersytecka
Dyrektor prof. dr Siebeck

Heidelberg, dn. 21 maj 1946 r.
Bergheimer Straße 58
telefon: 4853 i 4854

Sprawozdanie badań

dot.

Panią Barbarę Smoleńską, ur. 25 XII 1910 r.

Pani S. została przez ze mnie badana 21 III 1946 r.

Skarżyła się na bicie serca i ogólne zmęczenie.

Wynik: ciśnienie krwi 120/70 mm Hg. Blutsenkung (opadanie krwinek) 7/20 mm.

Morfologia: 75 % hemoglobina, 3,8 mln erytrocyty, 6 200 leukocyty. Mocz i opad b.z.

Elektrokardiogram: normalny Ekg.

Wynik rentgena: Organy klatki piersiowej b.z. Na dole w środku przepony metalowy zarys o kształcie igły, ok. 1 cm przed przełykiem. Prawdopodobnie to obce ciało należy szukać w podstawie osierdzia.

Zdjęcie: Przypominające igłę obce ciało o kształcie Y bezpośrednio nad grzbietem przepony, ok. 1 cm przed Cardią. (sercem). Na kolejnych zdjęciach widać, że to obce ciało zmienia swoje położenie względem przepony. Po prześwietleniu znajduje się między przeponą a dolnym zewnętrznym płatem osierdzia. Błona śluzowa w Oesophagus (zawężenia przełyku) i w okolicy serca w porządku.

Ocena: Małe obce ciało o kształcie igły, które prawdopodobnie przedostało się z zawężenia przełyku do miejsca przed sercem.

Przepisałem wówczas tabletki Belladonna i Tincturę amara a skierowałem pacjentkę do pana profesora Geissendörfera z chirurgicznej kliniki uniwersyteckiej.

Relacja z Kliniki Chirurgicznej z dnia 22 III 1946 r.:

Bardzo dziękuję za uprzejme skierowanie Pana pacjentki pani Barbary Smoleńskiej do mnie. Z powodu podejrzenia o Paget (chorobę Pageta) radziłem biopsję. Pacjentka chce się jeszcze raz z nami skontaktować.

pieczęć okrągła

z napisem:

Klinika im Ludolfa Krehl
Uniwersytetu
w Heidelbergu

Podpis

(Docent dr Spang)
Lekarz Naczelny Kliniki

5/2/4



Uprawnia
do przejazdów
państwowymi
środkami
komunikacyjnymi
według ulg
taryfowych dla
urzędników
państwowych

KURATORIUM ODBĘGU SZKOLNEGO BRZESKIEGO
Legitymacja Nr 882/1.

p. *Smolewska Helena*,
kontr. nauczycielka,
w Państ. Lecijskim Gimnaz.
Krawieckim w Białymstoku.

Brześć n. B., dn. 28. X. 1958 r.
NACZELNIK BIURA PERSONALNEGO

Hel. Smolewska
podpis

Ważna na rok wystawienia.
Ważność legitymacji przedłuża się na rok:

[Signature]
C. Sychowicz



19

19

19



LEGITYMACJA WOJSKOWA
OFICERA REZERWY

Seria: EI Nr 0102358



[Signature]
Własnoręczny podpis

1. *Smolewska*
Nazwisko

2. *Helena - Barbara*
Imiona

3. *Adolf - Maria*
Imiona rodziców

4. Data i miejsce urodzenia
25 grudzień 1910.
WARSZAWA

5. Stopień oficerski w chwili wydania legitymacji
wojskowej
porucznik

Rozkaz personalny *M.O.N.*

Nr *042* z dnia *10.02.1960.*





6. Przeniesiony do rezerwy

dnia 16 marca 1960 r.

Podstawa: Rozk. MON. Nr. 184
z dnia 7.12.1948 r.



1960 r.

[Signature]
(podpis i stanowisko)

7. Numer specjalności wojskowej

S.W. I-12

1603 1960.



S.W. _____

19... r.

mp.

(podpis)

S.W. _____

19... r.

mp.

(podpis)

Seria EI

Nr 0102358

8. Stopień zdolności do służby wojskowej

II Materiały uzupełniające relację

- Nekrolog H. B. Smoleńskiej, W-wa 1981, kopia, k. 1, s. 1
- Notatki H. B. Smoleńskiej dotyczące pobytu w obozach jenieckich, [b.d.], rkps, kopia, k. 3, s. 2-4 oraz w mps, k. 2, s. 5-6
- Notatki H. B. Smoleńskiej dotyczące pobytu w obozach jenieckich, [b.d.], rkps, kopia, k. 4, s. 7-10.



W dniu 22 sierpnia 1981 roku, przeżywszy lat 71,
po długich i ciężkich cierpieniach zmarła

S. + P.

HELENA BARBARA SMOLEŃSKA

członek ZWZ, porucznik AK, ps. „Szelma”, „Pio-
truś”, uczestnik ruchu oporu od 1939 r., kurier,
szyfrant KG AK, ranna w Powstaniu Warszawskim.
Jeniec oflagów: Lamsdorf, Mühlberg, Altenburg,
Molsdorf, Hohenfelden, Blankenheim. Odznaczona
czterokrotnie Medalem Wojska, Złotym Krzyżem
Zasługi z Mieczami. Wieloletni pracownik Szkoły
Głównej Gospodarstwa Wiejskiego — Akademii
Rolniczej w Warszawie.

Msza św. odprawiona będzie dnia 27 sierpnia 1981
roku o godz. 10.00 w kościele św. Marii Magdaleny
Warszawa Wawrzyszew, po której nastąpi wypro-
wadzenie Związków na cmentarz miejscowy.

rodzina

W-890281-1

nowe z melinobrym!

*Centrum radzieckie / falis odznaczonym
Krajem Armii Krajowej.*

Opatów - 5. X. 44 - Hala fabryczna - podłoga posypana brudną ziarną
nie spęczoną w stoku. E. X. Zaledwie do wagonów łowi-
wych, bez strachu, dwa dni podłoga, bez jaskrawa, w korytarzach, w
ciężkich i pozycjach, stojących w górnym.

Lamsdorf (Hammelager 344. Repostnaya jencow - fabryczka z numerem na brzozi -
fotografia; otrzymanym numerem, które zamiast niemiecka biała nam starych w białym em-
S. X. 44 / Lamsdorf, przedgóra Sudetów, na granicy Czecho-słow-
T. w. Wokół niedźwiedzi. Ślady pobytu jencow wacharek
Czechosłow. kolumny, w których kocwiz pod wielką, jaskrawą do
czerwona, białym - obrotu - terenie.
Obok wylądował generał niemiecki. Paragrafowy apel na placu
Przewodnik struho. Helijsmy otworkami w wisielowych powstaniowych, w
korytarzach ubraniach - tylko spaski białe - czerw. z "AK" na rękawach.

Mühlberg (inspektoria) 15. X. 44 - Międzynarodowy Hala - flag 4 c / ? /: Anglia
Francuzi Afrykańscy: miła nas wykielony strata
terenu i szybko, mimo zakazu, nawiązał się kontakt poprzez
słabki. Przed wycieczką Polacy / przybyli tu w różnym czasie
od 1939 roku /. Ochraniano się zmagami. Im już ustabilizo-
nami, otrzymujemy paczki, chleb, mleko, jarmuż. "Kartki"
szwala na indywidualne wypady pod dachy, i tym, że
je zabraknie samowoli i losunkowo niebawem grupa
może z tego szeregu korzystać. Otrzymujemy przez
drużby dary z solidarności dachowe. / kilka tysięcy sztuk
pokręży, puszek i konserwami i t.p. /.

Nie obeszło się i bez przykrego wypadku w przemiesz-
daniach naszego pobytu w Mühlbergu. Na uwięzieniu się
w podziemiach nasza komenda podjęta została rozprawy
oboku - przez dachy w dachach, z obok siebie, widać
kilka amatorów przyrody. Zostali przesunięci do oboku
złotego - przypadkowo znaleźli się w grupie uczest-
czek powstania. Komenda niemiecka przyjęła z tym
literaturą naszą dachy na powstanie 19. 10. 44.

Tymczasem, że był Młocem bytymy za dół grupy, w tym zakresie
partowa strona, której powołano wieli respektować. Liczono, że
ktoś nam zostanie po zmianie szeregowym - odprawy dla dwo-
roczników. Szczęśliwie nam to udało się - wypracujemy, że
listy wypowiedzieliśmy samodzielnie / chodziło o sytuację
między innymi między innymi / Listy i weryfikacje
sprawdzano z tymi. W rezultacie zostało nas około
700 osób, pozostała większość w ostatniej chwili przepłynęła
do Moskwy, grupy, nie udało się w tym czasie z AK,
przebiegło do obok cyfrowych / możliwe że część z nich
spowodowało do Oberlungau /
W Müllbergu nam respektowała nam Komandy, Niemcy traktowali
nas jak obywateli - ciżba niemiecka powieszona i obywateli
nawet nam.

Tutaj



Altendorf - 23. XII 45. Gmach b. latra. Losy uczył w czasie
transportu - doprowadzono je w niebezpiecznym celu.
Wierchow obok wiosk. uszki. Pierwotnie nam parę. Później miał
kolejnie wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich.
Wiele z nich.

Malsdorf - 13. XII 44. Parafii na północy. Obok południowy. Lata
na zachód od Sifurtu. Tutaj uszki. Wiele z nich. Wiele z nich.
Wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich.
Wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich. Wiele z nich.

ppr. Długo Łamucha - Biblioteka públ. w Warszawie?

Marek Makowski

por. dr. Bronka" Jędrna Kozłowska

por. "Barbara" Bronkowska - selska Lufia

kpt. "Ewa" Kulzbianka

"Kawata" jej powrotem wróciła z Giers do podległości i urzędowania

"Gracyna" - Puławska

ppr. "Krysia Biało" Gokali (był może być podległością w czasie Powstania
rolniczego / osniewanie /

"Bronko" - Jędrna

ppr. "Jedynka" - Górczka

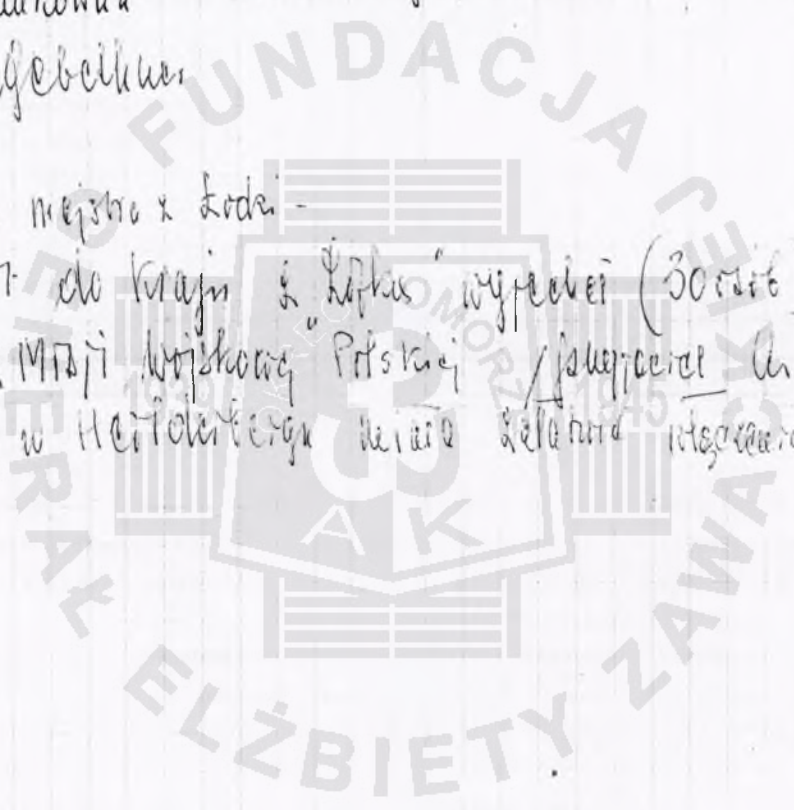
ppr. "Jga"

"Maki" - cirkla mejsza z Łodzi

przewidywał wyjazd do krajów i "Lufka" wyjechał (30 lat) i wykładał o szt.

park. Sigmundski z Młodzi wojkowi "Polskiej" / Sigmundski An

II Armia Polska w Hejdelbergu i dalej z Łodzi do Wrocławia = Man-
heim.



ppr. Olena Łasiewicka - Bibl. Publ. w Warszawie

Wanda Makowska

por. dr "Bronka" Janina Kozłowska

por. "Barbara" Bratkowska - Szklarska Zofia

kpt. "Ewa" Dulębianka

kpt. "Danuta" po powrocie robiła ^{akcję} dla podziemia i aresztowana

kpt! Grażyna "Przewłocka

ppr! Krysia Biała "Gokeli" / mąż byłwczasie Powstania
Odznaczony pośmiertnie /

"Bronka" Polankówna

ppr. "Jadwiga" Gebet ~~M~~hner

ppr! Iga "

"Maki" - córka majstra z Łodzi.

pierwszy transport do kraju z ~~Zofką~~..... wyjechał / 30 osób /
zwykazem osób

płk. Szymański z Misji Wojskowej Polski /przyjaciel A

II Armia Polska w Heilderbergu miała załatwić włączenie do transp.
z Manheim.

"Urszula z wrocławów Paula, były w "Jagna kpt! Inka "
Irena Piasecka od Rzepeckiego Marka", Murka"

I komp. "Mija" Zofia Kasprzycka,

.....Danusia, "Kala", "Halszka" Brzozowska

kpt. G..... "Julia"

ppr. Wawerska ppr "Ada" Łączyńska

szer "Nena" Halina Bukowiecka /w/, , szer. "Lonia"
Paprocka / w Herdelbergu na studia z/

"Staszka" Damroszowa

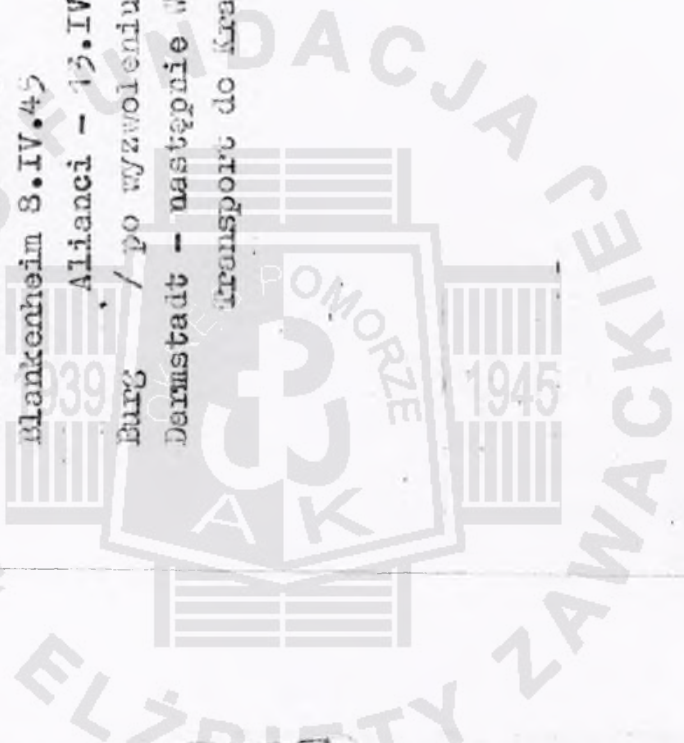
w sali "Os" była "Zbyszek" "Hania jasna" - Bodzyńska.

/ Halszka i weronika, dr Eli Pohlhorecka, Marta, Olga
siostry

ppor. "Lidka

Obóz jeniecki

- Ożarów 5.X.44 r.
- Lamsdorf 8.X.44
- Mühlberg 25.X.44
- Altenburg 23.XI.44
- Molsdorf 13.XII.44
- Hohenfelden 4.IV.45
- Blankenheim 8.IV.45
- Blankenheim 8.IV.45 / do 8.V.45 /
- Burg / po wyzwoleniu / do końca maja 45r.
- Darmstadt - następnie Weinheim.
- transport do kraju w lipcu 1946r.



88 - Maria Zuz. Wyprowadzona
na miejsce do przesiedlenia
XIII - V. 45r.

Wojna
Maria - na urlopie w czasie
Zuz. do przesiedlenia i w.
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie

Wojna
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie
Maria - na urlopie w czasie

Ożarów 5.X.44

Lamsdorf 8.X.44

Kammlager 344 / 106182
Lambivource, wina i mleko w granicy Badenii

Mühlberg 15.X.44

W. Westphalia / były ciężkie prace i robota.
militarne i inne kolumny Niemców
nie daly rozstać /

Allenburg 13.XI.44

Gmach b. Włbr. Siedz. 2 osoby, Merckly w czasie transportu
dyplomowane ujęto. Tutaj Włsk. obok muski ofiarowal nam
pakiki z POK - po 1 uc 4 osoby. W Egrola Włskion 4-ck eliption powynosto
w krocach

Molsdorf 13.XII.44

4.IV. / polski -

po dwóch dniach, wzięli wszystkie
dokumenty, pieniądze i rzeczy w domu
byli przedstawiciel POK wzięto owoz
wrelegamus blopuo - Bernadotte byli /

Höhefelden 4.IV.45

Włbr

Blankenheim 8.IV.45

„Dzień „Jia” i „Mika” zostały na cześć.
całkowicie studiowa.
/ jedna - wraś obok Krakau
/ Nasze werty po powrocie i karabizem /

Alianci 13.IV.45

- do 8.I
/ jedna byi przy orz.
/ (silk walcz przy czeri i sympolyn
Pitakia /

Burg

Włbr - amerykanie i strażnicy przyjezdziacym
Włbr - „Wrens, po Pankahel wozilo takz dluzsz imio).
do KAMA w 6.IV.
Jub & Paula porachaly w VI porachaly
do Brukseli w spawie studenick - myt wyzwa
ka mrypkachs mrad. Mataryluz
4 X.45

Wimstadt - koszty wiosk. - mrowano, pod lasem

Werkaru - w akcja w lutym 46

13.X. - pierwszy transport do Kregu & Włbr. i mrowano przez Mankaru
wraz Bralsko Biała / P.V.R. /

w Burgu - Rysia? Hańka, Klara Antonowa. Stanisław. Haeckel
 "Jonia" - wie żyje, Igierowska psalt. Krymuk, jedynego tyjeuś
 Marguła Buelwaldowa.
 → dykta do Burgu / Müllbergu wia w elborowa k. rzece.
 Robertu - stalg - oflag k.c.

"Młodocie" w Młodocie puzschi na ruspeki
 general uruczeki / stajom, cewotkami na
 apaku fant iylko spaski usalyumy, on powe-
 dki i "autostichet" "Młodocie" "Lima

Müllbergu były różne osoby: Angliacy francuzi, Brytanerzy
 spoc Robert Lee Sedkai i francuzi. - wiaj zabynat do Polakow
 Kolosy spraweli wobec tego Lespianeli: Maryśka, Maria Maryśka,
 Zachowcyi srs o sa sa.
 Młot: Angliacy - uboru loterocy, w okrai

w Młodocie osnuclali nas i broni pichadowy jeden sekret -
 muelcici usko nad obowu - Leech, igryta, jedna tlewa w rski
 jedna w obre wyi - amput. drugo podkurawa - wyrobota potew
 do Paryża skledatysny srs na jrolety.

uszyła greta "Kiejawiaczka". Piersna paecki w Młodocie
 (i dwa usos. nty za nallei) / Hie wprzezy rokrec w Krakowu
 "Oluka" formawowez detyshos (mowachali nas do detyshy ^{uzogolnias} 7 bylo
 były bykrety (Magda Smudlata (udata) urucce. polkret po wodz
 a ona pod kiepots po bykretu

uszyła "Krotkizy" ^{Paula} były w pawianacz "Jagua" kp. "Juka" Jitua Koscob.
 rd Repeckiego "Marka" - I krap. Mijsa" Lopa Kasprajcz,
 "Ita" Lolewa, "Kala"
 "Halseka" Brokowska
 kp. grety "Julia"
 ppri "Wanciszk" ppri "Ada" Lgeryjsk

~~ppr.~~ "Nana" Hanna Bukowicka / w. Winkler / "Lidia" Pajrocka

/ w Heidelbergu na studia z warkarom /

"Huska" Damroszowa

w sali "Os" była "Ilyszak" / Hania Janina - Brolmiska /
Halska i hennicka, dr. E. Marta, Olga
(Giedroyc) obecnie Lisicki w Lozannie

ppr. Lidka Lidia Grzechowska - architekt, malarka podjechała do Francji
na wystawy w Maroko.

"NANA" - Kaborowska

"Janina" Janyczak do Blukawaru, na po wywołaniu

ppr. Jadzia Tuszyńska "Ewa" prowadziła korp. w której były same kapitały
i. propozycje, chyba 2 komp. /

ppr. Grazyna Prowlocka? Architekt.

ppr. Meri Raczynska-Kobrowska

Karlsruhe przyjęła Korycki / jej / robotę propagandis na wyjazd do
Włoch / 40 porachaty do Andersa - jejnis artystyczne Dupresy (Polski) fa
Czyli

ppr. Rysia była w Misosy... była do sali z...

~~Nana~~ Nana - Kaborowska, rozbijała...
"Janna" "Anna" w kucharzce w...
"Krysia" "biata"

ppr. "Jasia" - dr. Jurgielewicz

dr. Burocka

Kukaz Lilia - chyba w Afryce / wysłała za nas /
Aerda: w Anglii / dwa skoty
Kolong / w... /

Lidka - dr. Hanna Wuldeni
44-95-48 / francuska 5 w 17 / III /
w... /

p. M.H. oddane do...
1. - Marta...
2. - Marzi -...
3. - Wanka: 1. M...
2. ...
3. ...
226

III/3 Inne materiały dotyczące ogólnie okupacji:

- Msza święta, Mińsk 1941, mps, rkps, kopia, k. 6, s. 1-6
- M. Bortowski, 2 pamiętniki więźniarek NKWD, „Nasz Dziennik” 11-12.12.2004, kopia, k. 1, s. 7
- M. Stalkowska, O wiewszu, który stał się modlitwą, „Nasz Dziennik” 17.12.2004, kopia, k. 1, s. 7
- H. Malewska, Czyste mieszkanie, „Znak” lipiec-sierpień 2006, kopia, k. 86, s. 8-44, H. B. Smoleńska pierwowzorem postaci Umy.



Mińsk 15 maja 1941

Msza więzienna

Niedziela - Poranek majowy.

Słyszycie drogie moje? Uciszcie rozmowy!

Słyszycie dzwony brzmiące nad błękitną rzeką?

Nad Wisłą, Wartą, Rabą i Niemnem i Wilją...

Od rzek tych, prawda, Mińsk leży daleko,

Ale to dzwony w naszych sercach biją.

Usiądźmy godnie na pryczach u ściany,

Zgarnijmy nasze więzienne kachmany.

Przyglądźmy włosy... Zamknijmy powieki...

Za chwilę dusze nasze ulecą w daleki zachodni szlak.

Tss...teraz opuszczamy celę

Wzdłuż korytarza idziemy ku bramie,

Uchylamy drzwi sąsiednich, zapraszamy więźniów Polaków. Jest ich wielu...wielu...wiele, wiele...

Bierzemy wszystkich ze sobą.

Schodzimy do lochów,

Gdzie czekają śmierci ludzie bladzi.

Mówimy im: Niedziela...Msza...lud się gromadzi

W kościołach, otrząśnijcie się z podziemnych prochów

I pójdźcie z nami.

Wiejska drożyna wije się wśród klonów.

Nad nami słońce...niebo...i głos dzwonów.

Witają nas po sadach kwitnące jabłunki...

Smukłe topole w majowej zieleni...

Brzozowe gaje...cudne jak marzenie

I pozdrawiają nas wiosenne łąki.

Przed nami i za nami idą gospodarze

Kobiety w chustkach-młodzież-dziewczęta w warkoczach

Mijają nas i lekko pochylają twarze-

Niech będzie pochwalony...

Łza serdeczna w oczach.

Ogród kościelny...Wschód...Brama szeroka,

Stare kasztany w wonnych młodych pąkach.

Przed nami ławy...ścieżki w słonecznych koronkach...

Rozśpiewana dzwonnica-Smukła i wysoka-

Odcina od błękitu swą gołębią białość.

Dniestrem
jesteśmy
te

rodzimy

Pukamy do drzwi sąsiednich,
wzywamy

oczekują

niesko...stanie
długo

z lekka

ementarz

Wchodzimy do przedsionka i maczamy palce
w wodzie święconej...W Imię Ojca...Syna,
Ducha Świętego...Ojcze Nasz! Oto godzina!
Skupiamy myśli biedne, poszarpane w walce.

Strząsamy z naszych piersi krwawy ból i podłość.

*strzcamy/wszelki
ból i złość.*

Wchodzimy w nawę Cicha, wielka wśród ołtarzy
Cała w tęczowych snopach bijących z witraży.
Przykłąkamy przed głównym ołtarzem schyleni,
Owiewa nas łagodny chłód szarych kamieni.

*Tęgodnie
białych*

Siadamy w ławkach.

Tawlich

Główny ołtarz tonie
w olbrzymich pękach bzu...~~szkaka~~ o jakże słodko.
Przelewa się czar woni w nawę tęczooką.

ton

Z bzu i zieleni jak sen się wyłania
Archanioł Gabryel...Maria z białą lilią w dłoni
Oboje w nimbach - w cudnej boskiej aureoli
Oboje pełni szczęścia...obraz zwiastowania.
U ścian konfesjonały - kilka kobiet klęczy
I rozszeptane korzą się przed spowiednikiem.

normadłowe

już

Kościelny swoim długim...długim zapalnikami

już

Bierze płomyk z lampy wieczystej. Powoli
zapala świece. Promyków obszere
wszystkie
wsną jedna po drugiej.

wszystkie

Dzwonek. W jasnych snopów tęczę

Wchodzi chłopczyzna z mszałem i ksiądz siwowłosa...
Głos organ uderza w ołtarz i w niebiosy.

Confiteor

O Panie ! Ty znasz nasze winy.
Ty widzisz naszą słabość, gdy biją godziny
Najcięższych prób - te czarne, długie śledztwa noce.

najtwardsze

Łos Ojczyzny wymaga, by w nadludzkie moce

Tężały serca nasze - daj nam tę moc Panie

Kiedy piekielnym wrzaskiem, pięścią i torturą

gdą groźba ponurą

Wróg chce wypusić od nas skargę i zeznanie.

A jeśli Boże ! Boże ! W tych nocach co przeszły

*jestli
głos jakimś słowem zgrzeszył*

Zsiniały usta jękły pod groźbą ponurą

I głos nasz załamany jakimś słowem zgrzeszył,

Przebacz nam Boże !

Dominus vobiscum

Et cum spiritu tuo.

Ewangelia. Powstańmy. Milknie organ mszalny.
W tęczowych snopach krążą...i pną się i snują
Radosne pyłki świetlne - wiedą tan pochwalny.

Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim...

Chryste! Gdzie słodycz błogosławieństw Twoich ?

Gdzie balsam słów o wierze ? O człowieku Bogu ?

Gdy narodami włada dzisiaj człowiek - zwierzę.

Gdy psy kęszą w świątyni Twoich progach,

Gdy niebo jest jak całun śmiertelny. Gdy w progu

Twoich świątyni kęszą psy, a ziemia cała

jedną wytwórnią dział, szarpiących ciała....

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam,

Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą.

Ofiarowanie. Błyska na ołtarzu złoto

kielicha i pateny.

Boże ! Z tą ofiarą mszalną,

Ofiarą Chrystusową składamy Ci oto

Każdy nasz dzień męczeństwa ~~torxurxlną~~ i noc torturalną....

My, młode matki, któreśmy szkło ostre

Chwytały w ręce i z żyły ramiennej

Sączyły krew, by poić na pryczy więziennej

Maleńkie dzieci nasze, gdy konały z głodu

przy wyschniętych ~~xxxxxxx~~ naszych ^{piersi} piersiach - My żony i siostry,

których mężowie, bracia przepadają gnani

W lodowaty kraj śmierci - na obozy wschodu.

My córki, których ojcowie padli roztrzelani.

My, przed rokiem kwitnące, młode i urodne

Świeżością warg i blaskiem falujących włosów...

Dziś opuchnięte głodem...i czarne od ciosów... z głodu

My matki siwowłose, któreśmy w pogodne ~~wnixx~~

Dni września błogosławiły synów na bój...A dziś wiemy,

że w lochach podziemi

ociekają krwią czarną spod rozdartych strzępów

swych szmat...

Przyjm ofiary nasze - O Panie Zastępów !

Sursum corda i Sanktus...

Szum organu rośnie, ~~brak~~

W chórze młodzieńcze głosy, jak wezbrana rzeka,

Lecące z wyżyn, biją radośnie, zwycięsko...

Szum wzmacnia się, ...~~owzmacnia~~ żywołem i spiżem !

I wolno oto cichnie...Jak burza daleka. z wolna... z wolna

- Oto jest Ciało Moje, które za was dawałem... dako

Archanioł Gabryel, Maria w aureoli chwały z lilii białą

Promieniają z ołtarza nad bolesnym krzyżem.

- Oto jest Krew Moja Nowego Przymierza.

Przeistoczenie...Chrystus Pan zstępuje

Na ołtarz. Miłowania ~~xx~~ Święta Tajemnica ! wielka

Naszym jest Chrystus, jako ten chleb biały,
Jaka ta zżęła z naszych pol i pnieca,
Który nas krzepi, żywi i raduje.

Która nas kammi, krzepi i raduje.

- Rozkoszą moją jest przebywać z synem człowieczym -
Dzwonek. Klękamy wszyscy. Cisza. Podniesienie ! z synami człowieczymi
Wzdłuż ix wierz nawy biegnie jakoby dreszcz fali
Jęk estateczny...długie...błagalne westchnienie.
- To wielka chwila! Chwila, w której nad potopem stali
Wzbija się biała Hostia i rozprasza cienie
Tonących we żzach... - oślepli od lkania
Będą pocieszeni....

a - Ak Którzy cierpią: ból prześladowania

Błogosławieni będą. I Królestwo Boga na ziemi obejmą ! i
Chwila nasza ! Cud oczekiwany
Rwie oddech, pręży płuca, jak żywioł eolski. wiew harfy eolskiej...
Błagamy Boga! Głos nasz będzie wysłuchany!
Błagajmy o rzecz wielką...o rzecz nam najbliższą,
Nad wszystkie inne droższą...i świętszą i wyższą - czystsza:

Błagajmy Boga o zwycięstwo Polski !!!

Memento za umarłych -

Snuje się poprzez kościół orszak bojowników,
Wodzów żołnierzy naszych...partyzantów śmiałych,
Którym Bóg dał najśrodszą śmierć na polu chwały.
I dłuższy,...dłuższy jeszcze szereg męczenników,
Zasypanych gruzem...Rozszarpanych krwawo...
Zamęczonych po lochach...

Oto idą zjawa

Promienną, jak tej tęczy światłość rozedrgana.

Oto idą jak biali pasterze kolędy.

Anioł ich Doży wiezie w jasny gród legendy.

Oremus..

Modlmy się słowami Pana -

Ojciec Nasz, który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje...

O święć się, Panie ! Twój Znak na błękitach !
Twoje imię na niebios

Święć się Twa łaska w wiosennym rozkwicie

Wiosennych sadów i pszenicznych łanów.

Święć się Twa dobroć, jak słoneczne morze.

Święć się Twa wielkość i Twój Sąd oBoże !

Święć się moc Twoja nad orzią szatanów

I sprawiedliwość Twoja

- Przyjdź Królestwo Twoje -

O przyjdź Królestwo ~~ś~~ Światła po mgłach i upiorach,

Królestwo tchu wolnego po dławiających zmorach,

Królestwo śmiałych wzlotów...Ekstazy pieni

Po więzach, które gniotą od piekieł boleśniej....

- Bądź wola Twoja

- Bądź wola Twoja...wołamy czasu mąk i trwogi;

bo Choć nieprzeniknione te ścieżki i drogi,
którymi wiedziesz ludy ku spełnieniu zadań,

Choć łamią się oręż dociekań i badań,

Choć w walce z szatanami dłoń odpada chobra

Wiemy, że wola Twoją jest zwycięstwo Dobra!

- Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj -

o Panie, Boże, błagamy Ciebie - zmień nasz chleb więzienny

Na chleb ojczystych łanów. - A jeśli nie może

Tak stać się...Daj tam w Polsce zdrowy chleb codzienny
Matkom ,ojcom i dzieciom-my gorycz przyjmujemy w pokorze.

-Odpuść nam nasze winy,jako i my odpuszczamy...-

Odpuszczamy? O Chryste ! Odpuszczając krwiożercom ?

Tym, którzy dzieci matkę, od głodu przejrzyste,

katowali, by wymócić od matek zeznania?

Odpuszczając "śledzowateliom"? - odpuszczając mordercom

Naszych mężów, ^{braci} synów - sprawcom ich ^{konania?}

- Niechaj się stanie według Twoich słów- - o Chryste !

- Nie wódz nas na pokuszenie...

o Panie, gdy uderzy wolności godzina

Broń nas, broń nas przed pokusą zemsty,co się czai
^{u serc i myśli naszych jak jaszczurka sina i jak wilczyca wsiechka}
Jaszczurką, aby kąsać. - Niechaj nam ojczyste gaje

Przypomną, żeśmy Polki.

Ale zbaw nas ode złego...

Zbaw nas od niewoli, Panie !

I od podłości strachu.

Amen - Niech się stanie.

Agnus Dei -

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata. -

O Chryste ! ~~Chryste~~ Grzechy świata są jak oceany!

Zgładz je z powierzchni ziemi i w piersiach ludzkości. sercach

Ludzkości zachłyśniętej krwią i w proch zdeptanej -

Zbudz szaloną tęsknotę do słowa miłości....

Komunią - Non sum dignus -

Panie, ~~Nie~~ jesteśmy godne,

Panie,

By promień Hostii krzepił nasze usta głodne,

Lecz rzekłeś, że rozkoszą Twoją jest przebywać prebywanie

Z synami człowieczymi.

Corpus Domini...

Zwolna podnosimy głowy -

Custodiat animam tuam....

O, żadnymi słowami nie maemy ciszy.

Oto jak ^{sen} mgła się rozrywa w tej ciszy jak więziennych wspomnień...

4/3/8
- Dominus vobiscum -

Et cum spiritu tuo -

Potężnieje głos chóru ! oto organ mszalny

Huczac aż pod sklepieniem gwiaździstą plejadą - e

Składa ostatni akord...swój hymn pożegnalny.

Książę obrócony ku nam w jasnym blaskach słońca.

Ostatnią nam oddaje swej pieśni kaskadę.

-Ite...Missa est.

Msza dobiega końca.

Błogosławieństwo...Przeniesienie mszału.

Ostatnia Ewangelia-wstajemy pomazku...

Na początku było Słowo,

A słowo było u Boga,

A Bogiem... Tss.....

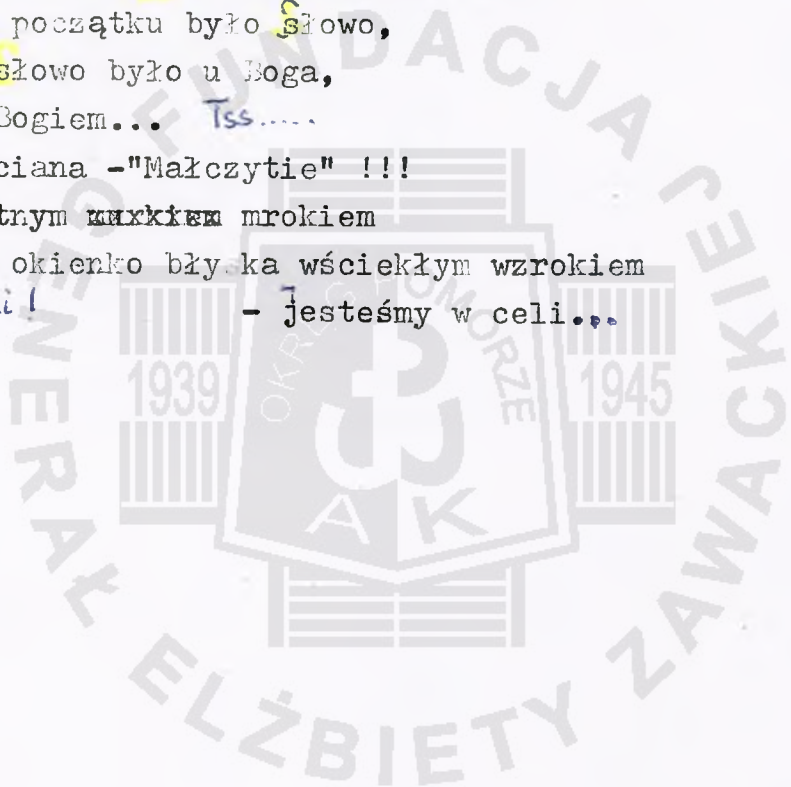
Drgnęła ściana -"Małczytie" !!!

Pod wilgotnym ~~wązkim~~ mrokiem

Judaszowe okienko bły ka wściekłym wzrokiem

- Matczy!

- Jesteśmy w celi...



Z pamiętnika więźniarek NKWD

Jestem w posiadaniu tekstu zatytułowanego „Msza więzienna”. Jest to rodzaj pamiętnika kobiet, które były więzione przez NKWD w Mińsku (obecnie Białoruś) w roku 1941. Tekst ten przeleżał w dokumentach śp. Barbary Smoleńskiej, oficera AK, członka ZWZ. Ogromny ładunek emocjonalny zawarty w tym utworze zachęca do opublikowania choćby jego fragmentu. Może znajdą się osoby mogące powiedzieć coś więcej na temat okoliczności powstania „Mszy więziennej” oraz jej autorki.

„Msza więzienna”

Niedziela – poranek majowy
Słyszycie drogie moje? Uciszcie rozmowy!
Słyszycie dzwony brzmiące nad błękitną rzeką?
Nad Wisłą, Wartą, Rabą i Niemnem,
i Wiliją...
Od rzek tych, prawda, Mińsk leży daleko,
Ale te dzwony w naszych sercach biją.
Usiądźmy godnie na pryzkach u ściany,
Zgarnijmy nasze więzienne łachmany.
Przyglądźmy włosy... Zamknijmy powieki...

O wierszu, który stał się modlitwą

W sobotnio-niedzielnym wydaniu „Naszego Dziennika” z 11-12 grudnia br. pan Marek Berłowski cytował fragmenty pięknego wiersza „Msza więzienna” i pytał o jego autorkę. Otóż była nią literatka Anna Skarbak-Sokołowska, a pełny tytuł wiersza brzmi: „Rozważanie Mszy św. w więzieniu” – wiersz poświęcony p. Helenie Wojtulewicz. Utwór został napisany na podstawie rela-

Za chwilę dusze nasze ulecą w daleki zachodni szlak...

Tsss... teraz opuszczamy celę
Wzdłuż korytarza idziemy ku bramie,
Uchylamy drzwi sąsiednich cel, zaprasza-
my więźniów Polaków
Jest ich wielu... wielu...

Bierzemy wszystkich ze sobą...
Boże! z tą ofiarą mszalną, Ofiarą
Chrystusową,
składamy ci oto
Każdy nasz dzień męczeństwa i noc torturalną.
My młode matki, któreśmy szkło ostre
Chwytały w ręce i z żyły ramiennej

Sączyły krew, by poić na pryczy więziennej
Maleńkie dzieci nasze, gdy konały z głodu
przy wyschłych naszych piersiach
My żony i siostry, których mężowie i bracia
przepadają gnani
W lodowały kraj śmierci – na obozy
wschodu.
My córki, których ojcowie padli rozstrzelani.
My przed rokiem kwitnące, młode i urodne
Świeżością warg i blaskiem falujących
włosów...
Dziś spuchnięte głodem... czarne od ciosów...
(...)

Marek Berłowski, Warszawa

cji więźniarki – córki autorki, pani pflk mgr inż. Grażyny Lipińskiej, walczącej w czasie wojny na terenach Mińszczyzny i Grodzieńszczyzny w randze kapitana i za swe zasługi odznaczonej Krzyżem Wirtuti Militari. Powstał we wrześniu 1941 r., kiedy Grażyna Lipińska uciekła z „pochodu śmierci” pędzonych na wschód więźniów po 20 miesiącach spędzonych w więzieniach sowieckich i powróciła do rodziny do Warszawy. W przypisach do książki p. Anny Skarbak-Sokołowskiej „Wspomnienia 1882-1944” (wyd. 1995 r.) czytamy: (...) „Poemat ten jest jakby improwizacją literacką, bo narodził się na drugi dzień po wysłuchaniu przez Annę Skarbak kolejnej opowieści córki, jak to więźniarki mińskiej «tiumny» w modlitewnej prozie rozważały Mszę św., aktualizując jej treść do ciężkich przeżyć własnych i do nieszczęść całego kraju. Autorka, stosując mowę więzianą rymem i rytmem, w mocnych a zarazem pięknych słowach poezji przedstawia wizję więźniarek. Tylko pewien liryzm przejawia się w opisie polskiej przyrody. Poza tym reszta wizji – to walka zwycięskiego Zła z przeciwstawiającą mu się potęgą Chrystusowego Do-

bra. W czasach okupacji wizja na kartkach maszynowych rozchodziła się anonimowo i ostrożnie po kraju. Trafiła do Londynu, do Wilna, na Białoruś (...) W roku 1944 po powtórnym aresztowaniu przez NKWD-MGB Lipińskiej wizja wraz z nią znalazła się w więzieniach i obozach sowieckich. Więźniarki Polki i również Białorusinki włączyły fragmenty Wizji do codziennej modlitwy“ (...).

M. Stalkowska, Warszawa



inspiracje

Czytelnikom zainteresowanym poszerzeniem wiedzy na temat związków między literaturą a moralnością polecamy przede wszystkim prace etyków – Alasdaira MacIntyre’a *Dziedzictwo cnoty* (Warszawa 1996), Marthy Nussbaum *Love’s Knowledge. Essays on Philosophy and Literature* (Oxford 1990) oraz Paula Ricoeura *O sobie samym jako innym* (Warszawa 2003), w których Arystotelesowska koncepcja cnoty skonfrontowana jest z nowożytnymi wzorcami kulturowymi, które znajdują odzwierciedlenie w literaturze. Ciekawym punktem dla tych dzieł są eseje Włodzimirza Galewicza *Z Arystotelesem przez greckie tragedie* (Kraków 2002). Wiele wnoszą do tej problematyki antropologiczne studia René Girarda – zwłaszcza *Prawda powieściowa i kłamstwo romantyczne* (Warszawa 2001) oraz *Szept i teatr zazdrości* (Warszawa 1996), w których dzieła literackie służą egzemplifikacji tezy o potędze „praгниenia trójkątnego”.

Tym, którzy chcieliby jeszcze głębiej zanurzyć się w świecie dylematów moralnych bohaterów powieści Henry’ego Jamesa, podsuwamy swoją sumę Roberta B. Pippina – *Henry James and Modern Moral Life* (Cambridge 2000). O żywotności etycznej utopii Josepha Conrada najbardziej przekonująco pisze Jan Józef Szczepański w tomie esejów *Przed nieznanym trybunałem* (wiele wydań).

Jak zwykle odsyłamy też do archiwalnych numerów „Znaku” – do zeszytu *Poszukiwania współczesnej etyki* (8/1994) oraz *Sztuka i moralność* (4/1995).



Hanna Malewska

Czyste mieszkanie

Z wielkim wzruszeniem oddajemy do rąk Czytelników napisane pięćdziesiąt lat temu i dotąd niepublikowane opowiadanie *Hanny Malewskiej*. Habent sua fata libelli!... O losach Czystego mieszkania pisze poniżej Anna Głąb.

Redakcja

Hanna Malewska w momencie wybuchu II wojny światowej miała 28 lat. Z relacji Izabeli Kuczyńskiej, żołnierza AK, wynika, że już w październiku 1939 roku Malewska nawiązała kontakt ze Służbą Zwycięstwa Polski (od 1942 – Armia Krajowa). Powierzono jej kierownictwo komórki sztyfów zagranicznych, wyodrebnionej z Kancelarii Głównej i Biura Szyfów Komendy Głównej SZP. Pod pseudonimem „Hania” kontaktowała się nie tylko z konspiracją krajową, ale również z rządem polskim na emigracji. To właśnie Malewskiej – choć nigdy nie należała do organizacji Przystosowanie Wojskowe Kobiet i nie była zawodowym żołnierzem – powierzono to zadanie. Zdecydował jej zdyscyplinowany intelekt, dyskrepcja, opanowanie, benedyktyńska cierpliwość. I rzeczywistość, „Karolinki” (bo taki był jeden z kryp-

III 1/3/8



tomionów komórki szczyfrankiej) przez cały czas aż do wybuchu Powstania nie miały ani jednej wpadki, a pułkownik Kazimierz „Kucza-ba” Pluta-Czachowski bardzo wysoko ocenił ich działalność.

Na czym polegała jej praca, dowiadujemy się z dotąd niepublikowanego, napisanego po wojnie opowiadania Czyste mieszkanie, które przechowywane jest w archiwach Biblioteki Jagiellońskiej. Wreszcie trafiła ono do rąk czytelników. Pierwszy szkicowy rękopis, jaki znalazłam w Jagiellonce, ma datę 2 lipca 1948 roku. Jest pokreślony ołówkiem, wyblakłym już do granic możliwości odczytania.

Pisarka długo czekała z pokazaniem noweli innym. Związana przysięgą wojskową, nie chciała nikomu w żaden sposób zaszkodzić. Dopiero po „odwinięciu” 1956 roku zdecydowała się przesłać je do „Stolicy” na ręce Władysława Bartoszewskiego. Pierwszy list od Profesora, jaki znalazłam w Jagiellonce, pochodzi z 14 sierpnia 1957 roku. Prosi on w nim o zgodę na druk noweli, pisząc m.in.: „Dla ludzi spoza naszej wojennej »branzji« niektóre terminy słowne mogą być trudno zrozumiałe i wymagać objaśnienia. Wydaje mi się ponadto, że nie zaszkodziłoby nadać noweli jeszcze bardziej dokumentalnego charakteru (boć i tak przecież opiera się na faktach) i wprowadzenie np. prawdziwych pseudonimów wszystkich prototypów bohaterów, o ile oczywiście ich charakterystyka nie odbiega zamadto od pierwotnej. Nawet jednak bez żadnych zmian uważam druk tej noweli za słuszny i sensowny”. Następny list Bartoszewskiego, przechowywany przez krewną Hannę Malewskiej Krystynę Poborską, pochodzi z 20 maja 1958 roku i zawiera odpowiedź odmowną: „Pozwalam sobie zwrócić z żalem tekst »Czystego mieszkania«. Byłbym prawdziwie rad, gdybyśmy mogli niebawem zwrócić się do Pani ponownie z propozycją druku w odpowiednio korzystnie zmienionych warunkach na rynku prasowo-wydawniczym”. Czy odroczenie publikacji było spowodowane troską o bezpieczeństwo pisarki? Sama Malewska nie uświadliła swojej prawdziwej okupacyjnej przeszłości, podając fałszywą funkcję – pracownicy Biura Informacji i Propagandy. Z moich poszukiwań w archiwach IPN wynika jednak, że funkcjonariusze UB wiedzieli, kim była w czasie wojny.

Wersji Czystego mieszkania powstało kilka. Od tej najmocniejszej w sformułowaniach, odważnie zapraszającej czytelnika za zasłonną konspiracją, aż do najłagodniejszej. Prezentowana tutaj jest jedną

z pierwszych, niezłagodzonych przez pisarkę. Pani Poborskiej dziękuję w tym miejscu za udostępnienie pożółkłego maszynopisu, który dzięki nie przetrwał tortury kserowania.

*

Kiedy córki pani Poborskiej pytały ciocię Hanie o warunki życia w czasie wojny, odpowiadała: „Było tak jak w Czystym mieszkaniu”. Warto zdać sobie sprawę z wagi publikacji tego opowiadania. To tekst wyjątkowy, odsłania bowiem kulisy pracy kobiet w czasie okupacji. Literatura dała nam wiele obrazów bohaterów męskich, rzucających przez wojnę jak „kamienie na szaniec”. Portrety kobiet z tego okresu należą raczej do rzadkości. Dzięki noweli Malewskiej wchodziemy w głąb wrażliwości kobiet wystawionych przez historię na ciężką próbę: tych najmłodszych, niemal dzieci, i tych już dojrzalszych. Opowiadanie Malewskiej to fascynująca galeria kobiet: od tych, które – niczym Baska Wołodajowska – wchodziły w samo centrum niebezpieczeństwa, traktując gestapo jak powietrze, aż po te, które musiały pokonać siebie i żyć na przekór sobie, bo inaczej się nie dało.

Zatrudnione przez „Hanię” kobiety (a było ich w ciągu całej wojny kilkanaście) były amاتورkami. Radziły sobie bez fachowców, choć w pierwszym okresie korzystały z pomocy matematyków. Każdego dnia pracowały nad odszyfrowaniem często nawet pięćdziesięciu stron maszynopisu. Tyle samo miały do zasyfrowania...

Czytając Czyste mieszkanie, wchodzimy w epicentrum wojennego dramatu. Przemykamy się ciemnymi ulicami Warszawy. Szukamy depeszy w nodze fortepiana. W ramach zabezpieczenia sobie alibi idziemy do dozory karnienicy po ćwierć kilo słoniny. Lub do antykwariatu, gdzie z niewinną miną pytamy o dzieła Conrada. W poplochu ucieczki łapiemy oddech na podwórzu sybięcej się kamienicy. Stęgamy po różaniec „jak po pistolet”. Na środku pokoju tańczymy „dla życia” i dla ludzi, których kochamy. Z radością rzucamy się na przyniesioną przez kogoś chabugę. Idziemy czarną jak smoła ulicą kuadrans przed godziną policyjną, aby oddać rozszyfrowaną wiadomość, sterroryzowane tylko jedną myślą: że łączność w czasie okupacji jest ważniejsza od naszego bezpieczeństwa. Nie pytamy: „Dlaczego my?”



10/3/9



Lub: za co? Lub: po co?», pisała Malewska. Jasne, że skazani jesteście na strach. Głupio byłoby się nie bać, zauważa w opowiadaniu Nala. Żyjemy, wspominała Malewska, „kartkowym chlebem i obowiązkami. Współodczuwaniem, nadzieją. Ktoś po chrześcijańsku, ktoś po stoicku. Co było normalne? Wystłek, cierpienie. Dobrze, jeśli nie strach, który jest chyba najmniejszą z cierpień”.

W noweli jest jakieś przejmujące szaleństwo i pulsowanie młodości. Tak, jest strach, ale jest również subtelne szczęście, uynikające z tego, że nie żyje się dla siebie. Malewska w przywrotnych notatkach: „Noc. Stukam na maszynie. I myślę o tym fantastycznym buziącym zapale, który wkładało się w pracę tyle lat – to jednak było niezwykłe. Myślałam w tragiczną wiosnę 1940 o Norwidowskim »kto subtelniej na świecie szczęśliwy«. I czułam się tak właśnie. Teraz robię to, co trzeba”.

Czytajcie Czyste mieszkanie, jesteście po stronie życia.

Anna Głąb

1.

Minęła numer 12, chcąc znaleźć źródło młych a niespodziewanych w miejsce pochchrąkowań i gęgań. Od strony skweru, na podwórku za siatką, które kiedyś było kwiatnikiem, żołnierz rzucił obfite resztki świątkowi i obrzytym gęsiom. Znała to: gospodarstwo SS-manów. Gdzie rezydują? Pod czernastym? – Proszę bardzo. Co za gęsi, aul, co za gęsi! Na Wawelskiej trzymali całe stado w tę najgorszą zimę na dworze i gęgały dzień i noc.

Żołnierz spojrzal i zaszwarzotał, szczerząc zęby. „Jestem elegancka jak folksdojczka”, pomyślała wzgardliwie pani Tuśka i odeszła bez pośpiechu. Jej cokolwiek sartygowane, ale bardzo warszawskie półbućki na równie warszawskich nogach przykuwały jeszcze chwilę uwagę żołnierza, potem znów cmoknął na gęsi.

Willia pod dwunastym miała wyraźnie jedno tylko wejście, ale za to furtkę ogrodową – w tej chwili otwartą, może jednak uda się ją zamknąć na klucz. Przeciwnie domek nieźle separowały od ulicy drzewa i krzewy, a tu był widok z okien pierwszego piętra. Na schodach zorientowała się, że mieszkanie, do którego zmierza, wychodzi na ulicę, nie na ogródki: to te właśnie okna z widokiem.

Otworzyła jej drobna i szczupła młoda osoba, zamiast oczekiwanej siwej i tęgiej. Tuśka wkroczyła swobodnie, pytając o panią domu.

– Ciotki nie ma i nie wiem, kiedy wróci.

Jak to obecnie bywa, mnóstwo ciotek i takie w ogóle rodzinne stosunki. Tuśka nieproszona usiadła w przedpokoju, rozpinając lustry i zdejmując rękawiczki. Spojrzenie bardzo jasnym oczu młodej niewiasty musnęło jej ładnie utrzymane ręce. Orzechowe oczy, prawie tego samego koloru co krótko obcięta czupryna, nie przybrały żadnego wyrazu: – Można wiedzieć, czego pani sobie życzy?

– Miałam właśnie omówić z ciotką sprawę mieszkania. Czy pani tu mieszka? Te dystanse obecne. Ja doprawdy nóg nie czuję.

– Chodzi o odnajęcie pokoju? Niestety, to pomyłka. Nie ma nic wolnego.

Pyszczek bardzo szczupły, prawie charci, wydanna kostka nosa obciągnięta przezroczywą skórą. W oczach o zbyt jasnym rzęsach nie można dopatrzeć się nawet niecierpliwości.



Pani Tuśka wzdycha raz jeszcze, raz jeszcze patrzy w te oczy – ich zdecydowany brak wyrazu coś jednak jej mówi. Bo oto uśmiechając się i nie wstając, oświadcza:

– Pani Lipkowska, znajoma ciotki, tu mnie skierowała.

Niemalowane wargi mizernej siostrzenicy poruszyły się i po pół sekundzie odpowiedziały:

– Do ciotki przyjechała rodzina, to już nieaktualne.

Przybyła przed lustrem poprawiała kapelusz.

– Żałuję. A państwo na długo? – czarujący uśmiech przeproszał za tupet.

– Proszę pani, to doprawdy pomyłka. Pani zechce zwrócić się gdzie indziej.

Schodząc lekko i wolno ze schodów, pani Tuśka usłyszała – chwilę niernuchomości w przedpokoju. Na dole dobiegły ją znowu pokwikiwania i chrzęst twardej gęsi skrzydeł. Przeszła dwadzieścia kroków ku Filtrowej i zatrzymała się, poprawiając korek w bućku. Cichy, ale charakterystyczny odgłos zaczął rozchodzić się z nieokreślonego, zapewne jednak tego właśnie, które dopiero co opuściła, miejsca.

Była to maszyna.

Zaczęła znowu tertotać – płytkim tertotem portable¹ a ustawionego na poduszce – zaledwie Una zasutkała „wpuścić” i przekrecono za nią klucz. Głowy nie podniosły się znad roboty.

Una, znacząc ołówkiem, dyktowała cyfry. W momencie wkręcania na wałek nowej „japonki” powiedziała:

– Lipkowska przysłała babę.

– Lipkowska? – zdziwiła się Dorota. – A swoją drogą patrzcie!

„Zaplecze” na kanapie zastane było dziśszą produkcją i jej odpadkami, a grubo jak tom encyklopedii, zmięty dzienniczek rozpościerał się na etażerze.

– Ktoś musi jednak zwracać na to uwagę!

– „Widok okropny wszystkie zmysły razi” – przyswiadczyła Isia.

Każdy wiedział, że sprzątnięcie tego bałaganu zajęłoby dobre trzy minuty, a jeszcze taboret, bestia, otwierał się za specjalną namową.

No tak, ale... Dziś było dwanaście pilnych kawalków.

– Łapcia niech zwraca uwagę – podsunęła Una-Szczurek. – Ona ma wyobraźnię.

W tej chwili zaszeptła znów maszyna. To czwarta z tuzina depesz przybierała postać clairu. Ale trzecia wciąż jeszcze stanowała na pół rozwiązany rebus wczorajszych zrzutów: sprawdzaj tu po dwa razy wszystkie sumy! – Kiedy oni wreszcie się nauczą podawać to literami?

– A czy ona na pewno była od Lipkowskiej?

Dorota, do której zwracało się to pytanie, jak większość pyrań w tym gronie, przeniosła wzrok z potyskliwych, pełnych wyobraźni okularów Łapci (która jako podlegająca skrupułom co dwa tygodnie mianowana tu bywała „bezpiecznikiem”) na jasne, obojętne oblicze Uny. – Una?

– Licho ją wie. Ale ten adres był kiedyś zgłoszony do Lipki.

– W zamierzonych czasach. Dwa lata już chyba, jak służy.

– A pół jak był spalony.

– Jednocześnie może nam i jej przyszło natchnienie, że znowu jest czysty? No, jadžiem, Orelciu. W szóście siedem jeden. Układ. W zerze osiem dwa...

– A co będzie z tą od Lipkowskiej? – nastawała nieśmiało Łapcia.

Ale w tej chwili Tita wkroczyła po drugim dzisiaj spotkaniu z Jotami i z wnętrza gumowego słonia wyciągnęła zwoj świeturkich, „prosto z pieca”, inaczej mówiąc, z nowej stacji w Kampinosie, nieszeleszczących biulek.

– No nie, proszę was! Przesadyźni! – podniosły się głosy. – Trzy dalsze ciągi po dziewięćset grup. Załóżę się, że to Politycy.

– A tutejsi nie zostaną dłużni w odpowiedzi. Jutro idź, Tita, na pocztę z plecakiem.

– Na jutro nie zdążymy, szkoda gadać.

– Chcecie, żeby nam dali nową? – groźnie mrknęła Genowefa, najbardziej „pazurna” na robotę ze wszystkich Żab i zawsze gotowa twierdzić, że jej podbierają, czyli po biurowemu posiadają, to, co sama mogłaby zrobić.

– I tak nas to nie minie. Władzuchna orzekła, że musimy się zadomować, pracować długofalowo i nie zdzierać się.

Una już liczyła dalsze hasła: dzisiaj jak na złość każdy knypek był z innej daty.

– Nie, to najdłuższe pójdzie na chaluupy, Una!

– Więc na jutro rano nie będzie...

– No to nie będzie! Przyjrzyjcie się! Komar odbierał. To jest widmowe! Nie można tego dyktować bez lupy.



– Bez mikroskopu elektronowego...

W godzinę później, wśród monotonnego dźwięku, na które składały się trzy przedki jak kłótnie, lecz przyciszone dialogi cyfrowo-literowe, Łapcia znów przypominała intruza od Lipki.

I w rezultacie Una jechała szesnastką na Chłodną – zielona jak ser, tak się czuła niedobrze tego dnia, ale nie było oczywiście rady, bo ona jedna знаła chody popołudniowe do Lipki, czyli zwyczajnie jej prywatne mieszkanie; taką wiedzę należało zachować przy sobie. Cóż, Una pamiętała „heroiczne czasy”, kiedy wszyscy biegali do wszystkich i znali się po nazwisku, broń piętrzyła się w koszach od bielizny, meldunki spoczywały pod dnami szuflad, a za granicę wędrowały jako potrzebne rulony w kijach turystycznych. „To było jednak – dajcie spokój, Bóg wie co!”

W zdumiewająco pustym tramwaju (dopiero co musiały być gdzieś grubsze łapanki) siedziała naprzeciwko osoba absolutnie szara, bez wianku i bez fizjonomii. Rzecz jasna: Sabina. Z obtrymią tacą. Una ze swej strony taszczyła żelazko elektryczne z materiałem dla dwóch chłup, jako że nie miała już dziś wrócić na Chlewik (tak zwano schłodną willę obok Ss-manów).

Sabina, mimo pozorów senności, przepatrywała swymi nieokreślonej barwy oczyma mijane ulice, Una zaś, zwracając bilet konduktorowi, uśmiechnęła się do niego z zaufaniem: to ten sam, była prawie pewna, komentował parę dni temu przez zęby: – Pryskać, panowie, pryskać! – wśród Niemców i foksów, podczas gdy motorniczy z lekka przyhamał. Wyskoczyła wtedy i ona. Na rogu, przy przystanku aż zielono było od szkopów.

Sabina, westchnawszy, siadła przy Unie. – Słuchaj, załoga wciąż robi piekło o te mapy.

Tramwaj zaczął zapelniać się, rozmawiały ledwie poruszając wargami, z obojętnymi i nijakimi minami kobiet przemęczonych handlem. – Daj spokój: Maciejka sama zabierała swoje graty z Chlewika. A potem była jeszcze rewizja...

– Maciejka twierdzi, że wyście tam miały, w stolku.

– Wariarka. Co dzień patroszymy stołek.

– To na Chlewik wróciłyście? A czy wiesz już, że ten Praszek wsiąkł?

– Który?

– Ten, co wam przekazywał nowy kod czy coś na Chlewiku.

„To w każdym razie nie na próżno będę u Lipkowskiej”, pomyślała Una, nie nie odpowiadając.

– Chudziak z ciebie, Una, że lepszych na Bródno wiozą. Kręcisz, żeby nie mieć urlopu. A ja bym chciała, tylko mi, holender, nie dadzą.

– Boli mnie ząb, po prostu.

– Nie chodźcie do dentystry, bo się zwyczajnie boicie świodra. Albo, co gorza, tak jesteście przygotowane na bohaterski koniec, że uważacie: nie warto. Ja to bym wzięła urlop i poszła do pięciu doktorów, ale Szyski naprawdę są monstrualne i odetchnąć mi nie dają. Emma ich swego czasu rozpaskudziła: ona wiedziała wszystko za wszystkich, więc i ja muszę. Uspokoili się, wiesz, tam, u góry, że Emma na pewno już nie żyje... Wszyscy więc mogą siedzieć bezpiecznie na starzych śmieciach i starzych papierach. Ty, Una, dostaniesz kiedy ataku sercowego albo wątrobianego na środku ulicy, ostrzegam cię. To zakazane: nie masz za grosz instynktu samozachowawczego ani dyscypliny.

Półśmiech Uny, choć ostrożny, wywołał ból dziaśla. Ten skoczek, który wsiąkł... jak to brzmiała opinia o nim nadana z bazy? Wyszkolony w dywersji, tylko „niewiele zbył wielka dbałość o własną osobę” – dość humorystyczne o czlowieku skaczącym tutaj do nas nocą zimową zamiast siedzieć spokojnie w Szkocii.

– I te mapy – powrótyrza bezgłośnie, lecz natarczywie Sabina, wstając. – Ty jesteś stary cynik, ale Doroia ma jeszcze przecież trochę konsp-skrupułów.

Znikła, nim jeszcze wysiadła, szara, kanciasta, obojętna, niewidoczna. Na tapczanie w eks-saloniku Lipkowskiej, zagraconym teraz po sufit, Una zobaczyła swoją dzisiejszą damę w lutrach. Podady sobie ręce bez słowa.

... Czy jeszcze kiedyś w życiu będę umiała się przyzwocić przedstawić i nie włązić do cudzych mieszkań – pytała siebie czasem Tuśka – i nie przebierać się w szalatach?

– To pani jest od Zab? – uśmiechnęła się do Uny. – Uczę nową łączniczkę dla was!

– O. Licho nadało.

– Nie do mnie miejcie pretensje. Wszystkie zawsze warczyście na nowe – uśmiech Tuśki stał się nieco szelmowski. – Ale wie pani, tę waszą maszynę to jednak sły ch a ć. Tam, u pani „cioci”.



– Wola boska. Ale oni zwracają uwagę tylko na swoje świniaki.

– I gęsi, gęski! Ja osobiście jestem teraz od wszystkiego u Sabiny. Pani nie domyśliła się?

– Rzeczywiście, pani nie śmierzdzi łącznością.

Teraz już wszystkie śliczne ząbki Tuśki pokazały się w uśmiechu: wiedziała, że „nie śmierzdzi”. – A ja się domyśliłam, chociaż pani nie była zbyt uprzedzająca. A poważnie wszyscy są tacy mili i rodziinni.

– Tak. I my wedle naszej madame w Chlewicku jesteśmy wzorami zarówno kultury, jak konspiracji... Czy to Maciejka chciała się tam znowu gwałtem wcisnąć?

– Nie wiem, może to dla niej ganiałam dziś cały dzień, a może trening po prostu: dbają o moją linię.

Wracając po półgodzinie tramwajem, tym razem uwieszona po lewej stronie pomostu, Una miała lekkie rumieńce i zapomniała kompletne o zębie, o wątrobie i o „nowej”.

No tak, większe wysiadanie! Dawno tego nie było! Zapadł już czarny wieczór i zaczął się śnieg. Zegnał, Chlewicku... A nowe miejsce, które dała Lipka, jest na szóstym piętrze – ufi! I w podwórzu – wejście jak na patelni, jakaś podchorążówka w bocznej oficynie, ziąb, centralne zepsute, ale poza tym jakoby ideal. Gospodyni trochę gadulska („Możecie rozszerzyć dla niej przysięgę, Una: parę jeszcze wymownych zakłęk po tajemniczych dochowac” – tak brzmiał zarcik warszawskiej dyktatorki od lokali). Ubliżacja przez korytarz i psuje się, ale jest dymnik w dachu i można w razie czego materiał w rynnie...

– Szykuję wam jeszcze jedno, ale musiałbyście krawcową tam osadzić albo w ostateczności ciastka. No i jeszcze ewentualnie Kruca – zdaje się, że byłaś tam kiedyś? – obok wesołe damy przyjmujące Niemców...

Teraz Una myślała już tylko o rozkładzie jazdy na resztę dzisiejszego wieczoru. Skoczek wpadł wczoraj, po zamachu w Pionkach. Dziś musi być rozepchnięty materiał z Chlewicka. Kto i gdzie? Kompletny plan ewakuacji, z odległościami, godziną policyjną i niespodziankami układał się przejrzysto w wojskowej głowie Uny, podczas gdy zimny deszcz splotwał jej za kohnierz rowkiem podstrzyżonego karku, a ręce cierpły: jedna na uchwycie tramwaju, druga na żelazku.

„Naprawdę tę maszynę słychać troszkę, to nie błaga. A tak zapowiadały, że „mowy nie ma” o siedzeniu dziś na Chlewicku znowu do nocy.

I naturalnie towarzystwo jeszcze w komplecie. – Skądinąd pomyślna okoliczność, osądziła Una, mrużąc w drzwiach oczy od trupiego karbidowego światła. Był to w dodatku komplet zupełnie szalejący, nieprzytomny nad robotą. Nie zauważyły prawie Uny. Dorota, przechylała głowę, „odrywała się od tekstu” – był to według niej jedyny sposób dojścia do ładu z napłatanym przez trudny odbiór sztyfem.

– „... Dwa: transporty na Białystok. Trzy: sprawdzić wywózkę na roboty w Lurym i...” w a s h e r y ... Wiem! W y c z e s y w a n i e ! „Wyczesywanie tyłów przez npla”.

– Elegancki termin: wyczesywanie tyłów – Isia wysapnęła kłab dymu i roześmiała się.

– Baby, uwaga! Obudźcie się: wysiadamy.

– Co, Una?

– Likwidujemy prosperującą firmę, i to już: Batiar wsiąkł.

– Kto?... Kiedy?

– Batiar: paszek, który znalazł adres Chlewicka. Wczoraj. Jak to dobrze, że jeszcze jesteś, Nula, już myślałam, że pogonię za tobą na Żoliborz. Ty, Genowefa, uprzedzisz Sabinę?

W pięć minut potem mieszkanie przedstawiało widok jeszcze szerszo-gólniejszy niż przez całe popołudnie i wieczór. Genowefa rozbiła tasą-kiem podwójne dno żardinietki, a Dorota upychała jej zawartość w postument batkowanej przenośnej lampy. Nula zakręcała sobie nieczytelny dzisiejszy numer 10 w wałek do włosów. Łapcia pełzała po podłodze i wywleka spod kanapy strzępy paska z alfabetem, który sążąc po kurzu, krył się tam – o wsrydzie – ze trzy dni. Potem spuszczały kalki i bruliony.

– Wściecie, jaką my synekurę dostaniemy kiedyś w nagrodę za usług? Szaleły miejskie! Nie zmienimy zajęcia...

– Ja rezerwuję sobie Plac Trzech Krzyży, tam ruch, aż miło.

– Bo jeżeli to jeszcze potrwa rok, zidiociejemy zupełnie...

– Rok? Optymistka.

– Niel! Wściecie, jak mówią optymiści? Niemcy nim wyjdą, wszystkich nas wyrzyna. A pesymiści: ba, czy my tego dożyjemy?

– Stary kawali!

– Słuchaj, Una – mówiła łączniczka Tira. – Na ten nowy lokal zamówimy skrytkę w nodze od fortepianu, oczywiście razem z fortepianem: ja chcę ćwiczyć pięciopalcówki.



– Zawsze to lepsze, niż żebyś nam przynosiła taką jak dzisiaj nie-pryzwoitą nadprodukcję.

Tej wymianie zdań towarzyszyło zwiawe dokręcanie śrubek, dopasowanie przykrywek, upychanie opornych wąsów materiału. Nieszczęśliwie japoński pójdą w rękawiczkę i w łapę.

– Isia, musisz wziąć rkszę kazioną, bo nie zdązysz do siebie od Goryli.

– No to na czysto wygrałam, bo leje.

Nula jeszcze jak kot na mysz rzuciła się na puszkę z pastą do podłogi, kryjącą się w cieniu filodendronu. – A w tym co? Kliszki cholerne. Pół godziny palenia albo kwadrans spuszczenia.

– Ani się wazi! To do archiwum.

– U nas to jak w tym biurze z anegdoty: pęka już szafa, to zniszczcie stare szpargaly, ale naprzód przepisacie w dwóch egzemplarzach.

– No, ty dopiero opowiadasz kawały z brodą!

Mieszkanie było obrabowane, ale czyste. Prawdopodobnie... – No i woni! Po jednej. Genowefa, jeszcześ tu?

Gęsi pod czterenastym podniosły właśnie głośne larum. Nie był to jednak sygnał zadnego najścia, tylko karmienia.

– Z tym tasemcem od Polityków pójdziemy chyba nocować do Halinek?

– Niel! Już nie dziś! *Pas de zèle*, jak mawiał Talleyrand podwładnym.

– Isiu, nie bądź uczona, dekonspirujesz się.

– Won, won, baby. Nasza dama niedopalki sprzątnie.

– Jeśli jej nie wyprzątną...

– Odstukaj! Dobranoc, Chlewiku. Aha, Dorota! Ciagle, wiesz, nudzą o te mapy.

– Gdzie? Skąd? Sami je zjedli i na nas zwałają. Isia, ty znówu zapalasz papierosa! Już cię nie ma!

Zaby, tak aktualnie zwana komórka Piątki KG AK, po kolei dawały nurka w niezbyt przytulne mroki warszawskiego wieczora.

2.

„Jedźcie sobie, jedźcie, trąbcie – i tak jutro poskręcacie kark!” – słyna ciężarówka gestapowska, mknąca ulicami jak straż ogniowa i przeznaczona wyłącznie na postrach, przyprawiała zawsze Zosię o śmiech. Dziecinny, powodujący buraczkowe rumieńce śmiech, którego starała się odczuć.

Z kamienną już miną wyminęła znajomą smarkulę z gazetkami, parząc na nią przepisowo jak na powietrze. Chętnie zaimponowałaby tamtej, że nazywała się już Anita i g d z i e pozostawiła zabawę z gazetkami! – ale oczywiście mowy o tym nie było. Sama musiała napawać się rozkoszną myślą, że dopiero dziewiąta, a ona ma już za sobą trzy samodzielne, pierwsze samodzielne, nowe chody. Na punkcie w czytelni poszło gładko – błąda panienka, która widziała ją wczoraj z Tušką, bez słowa wręczyła „zamówioną” książkę. W kwadrans później Anita przewinęła się, beznamiętnie oglądając wszystkie wystawy koło witriny szwedzkiej firmy na Brackiej i stwierdziła, że dzisiaj jest w oknie globus, więc nic. Wcisnęła się w tramwaj w sposób wręcz konkursowy (dzisiejsza harcerska sprawność numer jeden: jeździć osiemnastką!) i punktualnie co do minuty na ulicy Suchej wymieniła uścisk dłoni i parę słów z siewą panią, która poklepała ją z uśmiechem po ramieniu i każdy musiał sądzić, że to dawna wychowawczyni zatrzymała uczennicę, pytając: co porabiasz? (Stara dama była rzeczywiście emerytowaną nauczycielką, choć nie Zosi-Anity. Dopiero teraz czuła, że żyje: boć i POW za młodych lat było ostatecznie raczej grą amatorską...). Zosia, pomykając dalej, wsunęła rękawiczki z nową zawartością za podszewkę celofanowej torby. Kolo szczeniaka zatrzymała się pół minuty i sapnęła przez nos z irytacją. „... Admiralicja brytyjska przyznała się oficjalnie do strąty 15 000 ton tonazu od dnia...”

– Krugom już trzy razy całą flotę zatopili – skomentował ktoś w tłumie.

Dopiero na drugiej ulicy Anita zrozumiała dowcip. Na trzeciej zrobiło się jej gorąco z pośpiechu i wepchnęła szalik w otchłame torby. Mama okutała ją nim rano, „bo na pewno się zaziębiesz”. Za czasów harcerskich Zosia wpadała na taką uwagę w szal, za gazetkowych – parskając śmiechem: mama nie była przecież ostatecznie w nieświadomości



co do ładunku jej tornistra względnie walizki. Teraz, jako osoba dojrzała, bez protestu nauczyła się brać nawet ciepłe majtki: bądź co bądź maska i tak dosyć miewa czasem zdenerwowania.

Następny chód był na Ufanów Krechowickich i znów dopadła tam w porę co do minuty; może trochę zanadto gnąła do tramwaju. „Nigdy się nie spiesz”, pouczyła Tuśka. Numer, jak wszystkie wczoraj podane, płonął jej w głowie jak neon. /

Zadzwoniła i zastukała dwa razy. – Tu podobno można kupić dżem truskawkowy? – rzuciła z nonszalancją handlarcki.

Pan w binoklach, stojący w drzwiach, zmierzył ją oczyma z nerwowym niesmakiem i cofnął się w milczeniu. Anita czuła jednak, że to tu, tylko coś odrobinię nie klapuje. Tak, pan w binoklach był na pewno grubszą szyszką; zarówno nieświadomą hasel, jak i nielubiącą nowych twarzy. Zaraz też zastąpiła go w mrokach przedpokoju przystojna i wyniosła blondynka. – Pani zapewne od Tuśki? – wycedziła niechętnie.

– Truskawkowy dżem można tu dostać? – powtórzyła Anita dobitnie, nieco zgorzszona.

– Mam tylko dżem ze śliwek – raczyła poinformować pstrynowa. („Stare konsp-krowy i nie nauczą się odzewu: agrestowy miało być?”).

– Czy mogę dostać pięć kilo?

– Poczta od Zab? Wy z a w s z e jesteście takie: przysyłają mi nową bez uprzedzenia.

Pan w binoklach znów wychynął, nie patrząc, przyjął od Anity złożony papierek wielkości dużego paznokcia, otworzył go, przysunął do szkieł, odwrócił, wreszcie doręczył blondynce. Pretensja na jej obliczu ustąpiła miejsca zakłopotaniu. – To nowy „guzik” pocztowy... Czy pani umie nowy szyfr pocztowy? – zapytała surowo.

– Łączniczka, która nosi, nie powinna umieć – westchnęła Szyszka w binoklach. – Tylko tyś powinna umieć. Mam spotkanie o czwartej, a nie wiem adresu.

– Proszę o książkę telefoniczną – wyrzekła Anita, smakując słodycz triumfu. – O, ta cyfra to stronica, a mianownik kolumna i... O, widzi pani: K o s z y k o w a. A tak się czyta numer...

Szczytem dyskretności sprawności było, że Anita nie wyrachowała sama numeru, tylko pouczyła blondynkę. Tamta z kolei wręczyła jej świstek

maszynowego pisma: – Do „za” dla Zab. Jutro najdalej ma być nadane!

– Do „za” dla Zab? – powtórzyła Anita, czując, że błędnie, choć przy jej cerze było to złudzenie.

– Tak „KKK”: to znaczy bardzo pilne.

Nie mogła pogrzążyć się tutaj wyznaniem, że nie wie, co to znaczy „do za”.

Tuśka, rozłożona wygodnie w fotelu na centralce pocztowej, była jak zwykle zabójczo elegancka. A olbrzymia modna torba stanowią chyba prywaną własność bez skrytek. (Istotnie, Tuśka należała do wyznawczyń starożytniej mody pończoszanej. Twierdziła, że z tego powodu powinna mieć kazonne gazówki). Koniec nosa meldującej łączniczki zacierwienił się lekko z emocji. Bo wesołe z natury, pięknie ocenione oczy Tuśki były dziś wyraźnie strogie i zaledwie ją dostrzegały. Czyżby już coś nawalita?

– Anitka? Nie, wiesz, dziecko, muszę cię przewzać. To na nic, to ja już pierwsza zaraz zapomnę. Jesteś, dziecko, L i s e k wykapany.

– Szkoda... Ale może by Tessa? – podsunęła słabo, czując, że i to nie przejdzie. – No to może Wilczek? – ciekawy, zadarty nos jeszcze poczerwiał.

Wilczek? Szafirowe oczy Tuśki nadal patrzyły tym nieobecny spojrzaniem, które młodzi zawsze biorą za niezyczliwość. Może wilczek – taki w workowatej skórce psiak, przechylający się całym ciężarem na smyczy z miną niedospaną i zawadiacką, i niepewną, i sprytną? Przyjrzyła oczy.

Spezona łączniczka nie mogła wiedzieć, że jej instruktorka naprawdę z pewnym trudem zmusza się, żeby patrzeć na konsp-siedemnaście latki. Kto to bierze na siebie, żeby takie wciągać? No, nie wciągać: powiedzmy w p u s z z a ć. Nie zamknąć na klucz... Trzydziestolatnie „krowy” niech robią, babcie niech pomagają; ale nie dzieci. Miała w pamięci takie dwie głowy, jasną z warkoczami i ciemną z grzywką, ledwie znajome – córka sklepikarki, wnuczka sąsiada – ale dobrze znane. Gdzieś leżą te głowy – przez zdzieranie plakatów, noszenie gazetek.

– Hm, i ta torba z celofanu... Niechże się Wilczek szanowny zastanowi: po Woli i Ochocie z torbą kąpielową? Wiem, wiem, że celofan odpowiednio szeleści – teoria Sabiny! A czy z bramy, jak się spotykasz na schodach i wejdziesz pierwsza, wychodzisz także pierwsza czy





druga? Nikt ci nie mówił? Ale miej trochę smykałki. Druga wychodzi pierwsza, a pierwsza druga. Inaczej jak nic łatwo przetrzucić cynk. I co dzień nowa umowa: idąc, upatrzeć odpowiednią bramę, najlepiej z doctorem... Gazetki pewnie czytasz po trzy dziennie?

– No, chyba jak wszyscy.

– Osobiście nie lubię morskiej choroby. A nasze komunikaty też... no, mniejsza. Tylko kiedy masz skrytkę ze sobą, wolno ci brać komunikat, wiesz?

– Ja nosiłam, proszę pani, setki Biulów goło, w plecaku.

– Kobieto...

– Tak, tak: rozumiem. To inny gips. I nie chodzi o cykorie.

– Ani się waz. Wleczisz przez głupią gazetkę, a sypniesz dziesięć lokali. Wilczek miał już prawie lzy w oczach.

– Może nie sypniesz – Tuśka wreszcie spojrziała taskawiej. – Ale pójdziesz do Oświęcimia i już się nie wyszkolisz na pierwszorzędną łączniczkę.

Znów zmruczyła oczy z obrzydzeniem – dostrzegłszy znajomy skórzany kwiatek w klapie dziewczęcej wiatrowki. *Maison „Ochronka”* mało urozmaica swoje prezenty.

– A wiesz? Zamiasz torby zamówimy ci blok rysunkowy i piórnik. W razie czego przyznawaj się z płaczem do... ojoj, tajnych kompletów.

Nareszcie niemożliwie zmagłowana Zosia wyleciała z centralki. – I nie galopuj tak! Idź, jakbyś wyszła po sprawunki i miała nadzieję, że tymczasem ktoś zmyle w domu!

Adres następny kazano jej odszukać po kapeluszech. – Wiesz, takie nowe modele z woalką. – Bo Tuśka nie pamiętała numeru. Wilczek nie zwrócił za to uwagi na modne woalki. Mimo to adres odnalazł pomyślnie. Teraz już tylko jeden chód i Zabý – poczta do Żab. To jakieś coś do „za”... Może u Żab porwie Biul dzisiejszy. „Ciebie, mała, uczą, że nie wolno, a same robią, co chcą”, powiedziała przedwczoraj cyniczna Sabina, ale Dorota aż skoczyła na nią. Naprawdę to i bez Biula dziś strasznie ciekawie. Taka Sabina to musi mieć w głowie bardzo dziwny plan Warszawy. Z najbardziej zakonspirowanymi meinami zamiasz gmachów historycznych – Zosia wiedziała, że najgrubsze ryby muszą mieszkać jak zwykli ludzie, mimo to wybijała ich sobie za żelaznymi drzwiami otwieranymi jak w labiryncie z *Faraona*. Do tego komplet ślicznych kryptoni-

mów łączących się rodzinami, jak w zielniku. No i wspominki: gdzie co było, gdzie się co stało, gdzie jaki swąd, gdzie jaki cynk, gdzie jak gorąco.

Żeby tak raz wypatrzeć z boku takiego na cynku. I ostrzec. Na przykład radiostację Jotów! Ci to dopiero mają fajne życie.

Z rozpędu omal nie wleciała pod auto. „Zolnierz musi całą uwagę skupiać na zadaniu. Jestem żołnierzem. Fakt”.

Fakt. Fakt – radośnie wyszukiwały to słowo jej szybko mijające się drewniaczki. Albo żeby tak kiedyś być w dywersji. Jak tamta Zosia-„folksdojczka”, co szykowała zamach nawet w Berlinie. Teraz podobno zwarowała. „Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej!”. „Te dziesięć adresów poznasz, więcej nie wolno”. Sabina wzruszała ramionami na te nauki Tuśki i Doroty.

– Pościecie ją same pojutrze do mnie do prywatnego mieszkania z nazwiskiem.

– Sabina! Nie demoralizuj matę!

Na punkcie kontaktowym Żab Wilczek zafasował lustro z czysciutkim materiałem do mikro-foto. – Nie pognieci! I nie pogub śrubek od lustra. Jedną naszą świeżo rewidowali na ulicy: miała wszystkie śrubki w walizeczce, ciuch z cerowni na wierzchu, no i pomaszzerowała sobie spokojnie dalej!

Jeszcze teraz to nudne pójście do Siudeckiego, gdzie dawniej Zosia kupowała zeszyty, teraz zaś nauczyła się żądać peluru i japonki. Dwieście arkuszy – czy naprawdę potrzeba Żabom aż tyle papieru? Z pewną urazą dźwigała ten ciężar. A japonki wcale już nie dostała. Zabrakło.

... Czerwony plakat na kiosku! Znów rozstrzelani?

Niepewna, czy to jej wolno, zatrzymała się, czytając nazwiska. Dziecięciu. Nie, Wojtka nie ma... Matko Boska. Może we wtorek będzie znowu gryps od niego?

I nareszcie sumiennie wykonany rozkład jazdy przywiódł ją na ostatni chód: Zulińskiego dwa siedem – tu zostawić trzeba lustro. A hasło par-cela-Bagatela. Wszystko łatwo zapamiętać. Wszystko dziś idzie jak z płatkami, składa się jak angielski szczyrzyk.

Nie pędziła już, gwóździł wylaź z drewniaka i podart skarpetkę. Łydkie przybrały nieco siny odcień z zimna, chyba w tym roku wcale już nie będzie wiosny. Miała nadzieję, że w tej chwili nie wyrzeczca już oczu



na świat jak kot na sperkę, co ganiła jej nawet wyrozumiała Sabina (krótra nie pozwałała tylko na dwie rzeczy: niepunktualność i gapiostwo).

– Czy ten lokal od mikro-foto to będzie front? Nigdy nie pytać. W półmroku klarki schodowej rozzejrzała się za spisem lokatorów.

Pod tablicą stało dwóch mężczyzn w prawie jednakowych burych kurtkach. Poświecili sobie latarką, po czym jeden skinął rozkazująco głową drugiemu i jednocześnie spojrzal na Zosię przez ramię.

– Od tego ruchu i spojrzenia prawie zdrętwiała.

Tamci ruszyli w górę po schodach. Coś powiedzieli sobie mruknieniem.

To są tajniaki... Wilczek spomiął w jednej chwili i nim pomyślał, zbiegł po schodach do sutereny. Drzwi otwarte – znów nim pomyślał, był w małym warsztacie szewskim. Na ladzie stał telefon.

Alarmowy telefon!... Jak? Jak? Oczywiście: pół powstania kościuszkowskiego i jedynki.

– Czekaj, panna. Czekaj, panna! – to przemówił szewc z naciskiem i ze spokojem, nie przestając stukać, ale wyjąwszy pęczek kołków z ust.

– Co panna uważa? Położ, panna, słuchawkę. O tych dwóch się rozchodzi?

– Gdzie oni poszli?... – wymamrotala.

– Posłyszyny dzwonek. To na drugim! Do tej dentystki.

– Które mieszkanie?

– Pieć. Nie telefonuj, panna. Jak wyniuchają, niernudno sprawdzić, skąd i dokąd.

Z nagłą determinacją zrzuciła drewniaczek.

– Chciałam tylko, żeby mi pan to przybił, proszę pana.

Obejrzał bućk statecznie, poruszając wąsami. – I to nie zawadzi: świństwo teraz sprzedają ludziom, że niechaj Pan Bóg zachowa. Ot i już zrobione – do następnego wypadku. A tych pakuneczków nie zapomnij, panienko.

– Dziękuję.

„Głupi ma szczęście”, uczyła Tuśka, „więc uszy zawsze do góry!”. Jak to dobrze, że w Warszawie tacy ludzie. A tamci dwaj poszli do dentystki pod piątą, a nie pod siódmy do malarza-fotografa.

– Nic się nie należy. Dwa razy machnąłem młotkiem. Ale nie wychodź już tam na górę, panna. I nie wychodź na ulicę. Poczekaj kapinkę, o, tu stołek.

Poprzez fukse spojrzala na okienko. Naprzeciw sutereny widniały nogi w butach, z których jedna kiwała nosem, jakby była więcej znużona od drugiej. Cynk. Wilczek ochłonął już zupełnie. Trzeba do zmroku. A o zmroku do Zab. Nie... Kto wie, co tam było u tej dentystki. Na alarmowy kontakt Ochronki trzeba dać znać.

O Boże, Ochronka to był prawdziwy postrach nawet dla Tuśki. Nigdy im nie dogodzisz ani z hasłem, ani ze skrytkami, ani z wyglądem – dopływają się o domowe alibi, o kartę pracy. Bóg wie o co. No ale trzeba. – Jestem żołnierzem. Fakt. Dopiero by wydziwiali, gdyby się domyśli, że na minutę straciłam głowę.

– Ja doprawdy ogromnie dziękuję pannu, panie majstrze.

– Albo wiesz co, panna? Tu chybaj od tyłu przez podwórce i na lewo przez garaż wolna droga.

3.

Na szóste wysokie piętro Górki nawet Sabina wkraczała zdyszana. – ... Można powiedzieć, że robota na wysokim poziomie. Teraz się nauczyłam współpracować listonoszom. Gdzie Una?... Dorotę widziałam na przystanku. Ona ma taką świetnie zadumaną minę jakby nie z tego świata. Ciekawam tylko, czy widzi szkopów.

– Z zasady nie widzi. Ale czuje nosem – Isia podniosła głowę znad dżankania, które na nowej Górze nie było mniej zapamiętałe niż na starym Chlewiku. – I ma też dobrą rzecz Dorota: otamowanie, taką, wiecie, zwolnioną reakcję na zewnątrz. Powiesz jej coś z najlepszego repertuaru dzisiejszej makabry, ona nic. Dopiero po pół godzinie – ona czy nie ona? Jakby gipsowa maska...

– No cóż, artyści bywają dziwni – Sabina, odpalając papierosa od Isi, zauważyła powściągliwe miny „bab”. – Naprawdę nie wiecie, kto jest Dorota w cywilu? Psiakość, zdyscyplinowana z was ferajna.

Wilczek poruszył nozdrzami do smacznej zdobyczy, ale Nula i Isia powiedziały sobie wzrokiem, że przecież z nią są Dorotę – dlatego mogą śmiało nie interesować się, kim i czym była w przedhistorycznych czasach.

– Dorota poszła właśnie poszukać Uny w domu. Bo nie zjawiała się dziś na dyżurze.



- Co? Una?
 – Ale może...
 – Może choraj! – dokończyła Łapcia z energią.
 Sabina gwizdnęła. Una musiałaby być chyba umarta i pochowana. –
 Czy była z materiałem? Una?
 – Właśnie nie wiemy. Bo diabli wiedzą, czy ządzzyła do chatupy Jasiów wczoraj przed policyjną.
 – Hm. O łapankach większych głucho ostratnio. Na lokalach naszych też – odstukać – cisza.
 Zaburczał dzwonek i wnet zamrugał wspaniały sygnał elektryczny, na który majster Nula poświęcił prywatną latarkę.
 – Nie ma jej w domu – Dorota stała w drzwiach bez techn. Ze spojrzeniem, które nie było na ten raz ani zadumane, ani nieobecne. – Nie dostukałam się. A Jasiowie nie dostali od niej żelazka wczoraj...
 – Może z tym zębem zaleciała do dentystki?
 Słynny uparty stołek przetaszczony z Chlewicka trzasnął. To podniosła się Sabina, zgniatając papierosa. – Do jakiej dentystki?
 – Bo wczoraj bolał ją wściekle ząb.
 – Do jakiej?
 Teraz Wilczek zerwał się.
 A Sabina siadła: – Wariarki skończone! Na Żulińskiego u dentystki...
 – Gestapo – wyjąkała Zosia-Wilczek.
 – Żulińskiego – powtórzyła Dorota. Była dopiero co przed drzwiami Uhy, w najbliższym sąsiedztwie Żulińskiego.
 – A wy, ropuchy, wody w usta nabrałyście! – (Tylko Wilczek chciał protestować przeciw niesprawiedliwości). – A mnie, do ciężkiej cholery, też właściwie nie wolno ani mru-mru, bo taki przepis Ochronki! Ze niby nerwy, dekonspiracja, płotki iede. Ochronka w ostrożność szarpana! Od wczoraj wieczór tam kocioł. Ze trzydzieści osób.
 – Przynajmniej pocieszające, że trzydzieści sztuk: pacjenci. – Wśród kompletnej ciszy, bo umilkło drukanie i maszyna w kącie, Isia wyraziła swoją opinię. I po swoim naradnie, z ceremoniałem, zapaliła krótkiego papierosa w długiej lufce.
 Nie odpowiedział nik.

- Czy w tym żelazku były szyfry czy clairy? – Sabina zwróciła się do Doroty.
 – Ostatnie „sady” w clairze.
 – Fiu, a to ładny kwiat. Sabotazowo-dywersyjny meldunek, tak?
 Dorota stała ubrana, w swoim odwiecznym, modnym kiedyś zielonym paletku i płaskim berecie na tyle głowy. Spóźniona reakcja... Jej twarz rzeczywiście nie zmieniła się ani trochę, głos tylko był coraz bardziej zdyszany.
 – Może to tylko ślepa sztrajfa jest, Sabina. Musimy wszystkie cicho siedzieć, ale to...
 – Jak ostrzygi, baby! Na ten raz przepis Ochronki g i t, słuszny. Będą sprawdzać im zęby: tej kopie polapanych. I jeśli nic nie wycieknie... No i książki dentystki. Więc skoro Una pacjentka...
 – A co tam było na tej Żulińskiego? Po co tam wleźli, Sabina?
 – A licha najcięższe wiel! Może tajna wyższa szkoła tańców? Może bimber?
 – Może podchorążówka? W szę d z i e coś jest – Łapcia nerwowo, beznamiętnie jęła zbierać papiery z zaplecha. Wreszcie porzuciła je, gdzie były.
 – Ale ja tu, Dorota, przyszedłam z materiałem – Sabina pomiędzy marchwi w siarce wydobyła pokąźny rulon. – Meldunek poczają. Na pojutrze musi być. Jedenaście stron.
 – Nie będzie.
 – Musi, bo za trzy dni w nocy dwustronny lot.
 Dorota wyciągnęła stołek spod Sabiny, nacisnęła sprężynkę i wyszukała dzienniczek. Na oryginalne, na kopii i na wykazie postawiła numer M.117. – Powiedz, że będzie. I daj im numer, bo się będą potem upominać.
 Szeroko otwartymi oczyma Dorota widziała w tej chwili podstrzyżoną głowę Uhy chylącą się nad robotą, twarz przeczoczystą wysublimowanego szczura.
 – Takiego, wiesz, Szczura – mawiała Isia-materialistka – z którego wywodzi się *homo sapiens*: Praszczura. Albo raczej takiego, który jako zwierzę inteligentne odziedziczył podobno świat, kiedy już ludzkość wyrepi się wzajemnie.
 – A ten numer... jak mu tam? Sto Siedemnaście macie sobie, baby, dobrze zapamiętać. Dorota słyszysz? Bo to pono ciąg dalszy sławnego Pięćdziesiąt Iles. – Z pierwszym planem Mob.

III 13/18



– Ja n i c nie pamiętam, Sabina. Możesz to powiedzieć Szyzskom – Isia ze zwykłą flegmą, może nieco dziś akcentowaną, wypuściła kłęb dymu. – U mnie wszystkie tajemnice bezpieczne, bo ziewam nad nimi. M. Siedem i Siedemnaście to, owszem, była jeszcze lektura. Ale Sto Siedemnaście, dziękuję.

– Mogą mnie podrzeć na kawałki, a nie powiem, co hafrowałam przed tygodniem, bo nie wiem – zgodziła się z powyższym Nula.

Łapcia milczała, a jej bystre okulary zamigotały niespokojnie. Łapcia była chciwa wiedzy, „przejmowała się” i pamiętała wszystko jeszcze lepiej niż kiedyś lekcje historii. No, ale odkąd przydzielono jej archiwum, nie tylko wolno jej przecież bez skrupułów wiedzieć i pamiętać, ale nawet powinna.

– Ale z Uną... Co z Uną będzie? – wyrwał się Wilczek, czerwony w plamy. – Makabra – dokończył szeptem w braku innego słowa.

Zaby milczały. Sabina wzięła pocztę dzisiejszą od Doroty i upchnęła małutki zwitek w wydrażoną marchew.

– I jeszcze te mapy, Dorota!

Odpowiedziała sekretarka Zab wydała pomruk, który był dźwięczny i muzyczny (bo taki już miała głos), ale niewątpliwie był warknięciem.

– Wiedziałam, że warkniesz. Że teraz warkniesz. No i wysiadać musicie bez gadania! – ciągnęła Sabina z zimną krwią. Wszystkie adresy, które Una zna. Tak, tak, ropuszki, trudno. Odkąd zdarzyło się, że syną legendarny Konrad-Wir...

– Ten z partyzantki?

– Ten sam, Wilczątko. A przecież nie wytrzymał i sywał. Otróz, niewiastry, od tego czasu...

– Tak wiemy. Ale M.117 musi być zrobiony.

– Musi.

– Gdzie?

– Wasza głowa. I Lipki. Lipka ma dla was jeszcze lokal. Te wesole damy z Niemcami.

– Nie chcemy sąsiedztwa wesolych dam. Będziemy niekorzystnie odbijać. Jesteśmy haniebnie zaniedbane. Istne kobierony. Prócz Doroty – Isia prawila po swojemu, patrząc groźnie na Wilczka, który miał tzy w oczach – chociaż i Dorota święci dziś dziurą; ale ma różową piętę jak Wenus z Eneidy... – papieros Isi nie palił się, ale gryzła usznik.

– Więc może Chlewik z powrotem? – rzuciła Dorota. Z lokalami było podobnie jak przed laty z sukienkami na kolonii szkolnej: tę najdawniej odleżałą uznawało się nagle za najczyściejszą.

– Musicie spytać Ochronki.

– Och.

– Wilczek już jechał! Trzecie spotkanie z Jotami dzisiaj, jak na złość. Ale z taką miną nie możesz iść.

Nula i Isia zaczęły dukać na nowo, myląc się i między cyframi rugając się wzajemnie. Dorota cicho, z wahaniem spytała:

– Dlaczego, Sabina, zawsze mówiło się – wiesz, u władz – że Una nie m o ż e wpaść, ale m u s i pracować?

– Że musi pracować, i to jak koń, to same wiecie – Sabina statecznie zapinała swój nieokreślonego koloru, kroju i rocznika płaszcz – a że nie może... no, nie powinna być w takim miejscu, żeby wpaść, to całe dzieje.

– Ty znaś ją we Lwowie.

Co do Sabiny, była ona zdekonspirowana wobec przynajmniej trzystu osób z Piątki KG, nawet najbardziej karnie „nieciekawych” i Sifa wyższa. Z Żab nie znał jej po nazwisku jeden tylko Wilczek.

A Una? Niby nie ona jedna miała bogatą, z paru wcieleni żoną, przeszłość wojenną. I właściwie wiedzieli o niej dużo, a jednak było tam zawsze coś niedopowiedzianego.

– Jeśli ma nie wpaść: bo to jeszcze nie jest wsyspa... – Sabina zerwała dolny guzik zwisający na nitce. – Jeśli jest szansa, żeby Una wyszła z tego jako tako, musicie milczeć jak zamurowane. A jak na moście będzie kto gadał o dentyście, śmieście się, że Gestapo narwało się tam, szukając wiatru w polu. Właśnie dlatego Unę dali do was, żeby nie wsiąkla! Chro-miona komórka!

– Psiakość, co za proza – Isia podniosła głowę i przerzuciła papierosa w drugi kąt warg samym skrzywieniem z prawą andrusa. Po czym dodała: – Genowefa musi pierwsza wysiadać, bo u niej Una była kiedyś meldowana.

– A gdzież to Genowefa? – Sabina kroczyła ku wyjściu, jęknąwszy na widok godziny. – Z chałupami teraz pracuje? Na Łączce w dawnych do-brych czasach ona mi zawsze dawała coś gorącego zjeść: jedna jedyna gospodarna kobietal – Zatrzymała się jeszcze i obrzuciła wszystkie spoj-



rzaniem. Tylko Dorota i Łapcia nie miały przy klapie lub zamiast broszki skórzanego kwiatka czy pieszka: w kwiatku, pieszku-terterze, ewentualnie w śwince bywało zawsze to samo – cyankali.

– A Una? – spytała, dotykając własnej maskoty. – Una nie ma – wycedziła Isia, podnosząc brwi. – Nie dali jej: że niby nerwy. I że bezpieczniej... Hm, tak, Sabina.

Ona jedna tu poza Sabina, wiedziała. Dla czego. I dlatego Una jest zawsze zielono-przezroczysta, i jak to było z tym... cokolwiek to było za narzędzie: szkło czy też szpilka, wrędy, w wężeniu brygirkowskim, gdy strażnik odwrócił się. Dwa lata temu. Czy może dwanaście? Czas leci i stoi murem, na własnych pozycjach – jak Alianci.

Szczególnie rozległy dzisiejszy objazd wieczorny Dorota zaczęła od najdalej meliny. Wracając po omacku uliczką Naruszewicza – latarka właśnie jej zgasała – zastanawiała się, czy wszyscy tak jak ona odczuwają zaciemnienie jako brak tchu, jak obrzydliwy ucisk serca. A przynajmniej nieunikiony smutek. Potem spostrzegła, że wciąż myśli o Unie i wciąż wbrew woli to naigorsze. Jak Una wytrzyma, jeżeli ma poczucie, że sama jest sobie winna? Ze właściwie nawaliła, bo gdyby zostawiła na lokalu żelazko, idąc prywatnie do dentystki... Oczywiście to głupstwo: takich rzeczy niepodobna przestrzegać. Ale jeżeli ona tak myśli? To jak wytrzymać?

Dla Doroty wpaść z materiałem bez konieczności czy wkopać materiał to był istny koszmar – dosłownie najczystszy z jej snów. Ale w snach wszystko się jakoś rozchodziło po kościach jeszcze przed ranym budzikiem. Najciekawsze, że w dzień się nigdy o tym wszystkim nie myślało.

– Ale Unie to śnią się takie rzeczy, że chciała by umrzeć – tak napomknęła kiedyś Genowefa, kiedy mieszkały razem i opiekowała się Uną-rekonwalescentką.

To chyba bajka. Naprzód: Una zawsze milczy o sobie. A poza tym... Zmacała nogą krawężnik. W oddali na Pułaskiej zadzwonił tramwaj... Poza tym takie rzeczy nie mogą się wysnąć.

To, co było, co jest i jeszcze będzie na Brygilkach, na Szucha czy gdzieś indziej – nie może się wysnąć.

Cisnąc do siebie olbrzymi rajzbret nadziany połową M.117 i wypatrując numeru tramwaju, Dorota odpędzała rzeczy ostateczne.

Tak się te sprawy u niej nazywały. Gdyby się miało samemu przeżyć okrucieństwo rzeczy ostatecznych, chyba i wrędy nie uwierzyłoby się w nie – tak naprawdę.

Co do niej, nie mogła uwierzyć w powieszonych przed tygodniem chłopców z salezjańskiej szkoły na Lesznie, choć widziało ich pół miasta.

Rzuciła się do tramwaju i cofnęła się. Widok dziesiątki automatycznie wprawiał ją w ruch, tak rzadkim było szczęściem złapać wieczorem swój tramwaj domowy. – Działa jak dzwonek Pawłowa na psa – mówiła Isia. Ale na razie nic z tego: jeszcze na Pragę. A na wszystko godziną i pięć minut czasu. Dawniej słygnęła z niepunktualności... Portrafiła się spóźnić na własny koncert.

Półmroczny tramwaj przesuwał się. Zamknęła oczy i zaraz pod powiekami zobaczyła świetne, niespodziewane a pełne precyzji układy barw, zmieniające się, ale nie zacierające. Czy dużo ludzi to miewa? Zwykle nie uświadamiała sobie tego nawet, ale w tej chwili tknęła ją piękność wzorów, delikatna, przelotna, niczemu nie służąca.

Otworzyła oczy. Nie, nie trzeba. Nawet i to mogłoby stać się natogiem. Tak jak ukochany chmiel nad stawem, który ją nawiedza tuż przed zaśnięciem, kołyszący się z góry, dzwoniący szyszczkami, w słońcu, w spokoju – w kraju niepodobieństwa.

Przedostatnia rozmowa z Tadeuszem – czy rzeczywiście mówili czy tylko myśleli o tym stawku, i wietrze, i chmielu? Boże... Idźcie szczęściem tramwaj praski!

Wdarła się, robiąc lokciami i wystawiając nad głową rajzbret-skrzytkę. Tak. To jest życie na przekór sobie. Ona nie będzie nigdy żadną Baszką Wołodjowską, żadną X 27, nie była nawet sportsmenką i nie ma żasz brawury.

Jest kimś innym, zupełnie kimś innym. Ale nie jest – była.

Sznuka; o niej nawet nie śmie myśleć. Ani o Tadeuszu... i to musi odejść, czekać. Jak długo? Może zamrze to wszystko, tak głęboko pochowane, że się zadusi.

Zrobiło się najsęcej, usiadłszy, poczuła, że chwila jeszcze, a upadłaby ze zmęczenia. Jednocześnie usmiechnęła się cicho: tak się to myśli, ale



111/131/20



się nie pada. A życie na przekór sobie? O tak, pewno. Ale jakże inaczej można by żyć?

Lepiej, że to nie zadna „zasługa”. Ani nawet wybór, wybory i zasługi są nużące – myślała coraz sennie, niewyrażnie.

Opadły jej znów powieki, ale nic się pod nimi nie zjawilo. Twardość rajbretu była zupełnie rzeczywista, pewna, uspokajająca. Una to wojownik, nie tak jak ja. Ale o Unie także nie waz się teraz myśleć.

Podobno drugi raz w więzieniu jest najgorszy. –

4.

– Nie wysiąde, Dorota, słyszysz? Ani do twojej ciotki, ani nigdzie indziej. Łatwo ci mówić!

Genowefa już prawie krzyczała, lecz szare, zawsze jakby odrobnie dziwiące się oczy Doroty nie zdradziły wrażenia. Choć odmowa spełnienia rozkazu była dla niej czymś niepojętym. I u Zab niesłychanym.

W tej chwili jednak nie pojmowała też paru innych rzeczy. Dlaczego już na schodach miała poczucie, jakby w tym wielobramnym ulu Niemcwicza 9 nie była od bardzo dawna? Naprawdę była w zeszłym tygodniu. Czasem miesiące umkną nie wiadomo kiedy, a czasem tygodnie... Tak! Ale ten nowoczesny hołk, schludny, tak dobrze znajomy, to na pozór wcale nie miejsce, w którym by chwile wykrzywały się ni strąd, ni zowąd nienaturalnym, niesamowitym spokojem zatrzymanego czasu: straszającego nagle zawartość lat.

Pod lustrem wkręconym w ścianę świeże blade kwiatki wiosenne – które wstawiła dawna Julia-Genowefa, zawsze roztracająca wokoło siebie domową przytulność i urodę. A lustro przechowało chyba tylekroć widziany uśmiech wdzięcznej, nienatrętnej troskliwości. – Moze dać ci herbaty? Moze się wyciągniesz u mnie na chwilę? – I teraz jeszcze, przed chwilą uśmiechnęła się Genowefa, niekaptująca nigdy i nieprzyjmująca nic od nikogo – ale to nie był ten sam uśmiech. I Dorota teraz pojęła, dlaczego Una nie mogła z Genowefą wytrzymać. I czemu Genowefa powtarza teraz z taką niepotrzebną szewską pasją: – Słyszysz?! – Jakby brak odpowiedzi doprowadzał ją do ostateczności.

– Ach, dawno już, okazuje się, przysza na nią ta ostateczność, która od silnych nawet kobiet nie jest nigdy daleka. Ale dość słabe nawet ko-

biery potrafią ją potem znosić latami, nie zdradzając, jak bardzo nie są już sobą.

Na pewno była sobą, kiedy pielęgnowała Unę w chorobie. A pierwszym zjawiającym się tu Zabom przedstawiała swego męża z zartobliwie tajoną dumą, z jaką patrzy się na istoty kochane. Ale to było parę lat temu – potójnych czy poczwórnych wojennych lat. Dorota ze swą „spóźnioną reakcją” wciąż miała w oczach ową młoda i ładną Julę, kupującą wieczorem rogalki dla bratańców, łagodzącą ze śmiechem utyskiwania starszki matki.

Jestem do niczego, przemkneło jej przez myśl, jak mogłam dopuścić?

Zawsze uprzedzała „Podszelkę”, swą władzę, że nie posiada za grosz zdolności organizacyjnych, łącznie z darem współzycia z ludźmi. Ale właściwie wiedziała doskonale, że pogarda Juli dla męża, zawód na brankach, zrzęczenie matki – że na to wszystko nie było sposobu (oprócz abonamentu „kazonnych” obiadów, przez co zmusiła ją do odzywiania się o s o b i e jako tak). Jak to się stało jednak, że Genowefe, tej niezmordowanej, robota nie wystarczyła, jak tyłu innym, za wszystko?

– Wy się bawicie w wojnę, Dorota. Ja nie! – gardłowy głos zdradził, że i Dorota jest już częścią otoczenia, którego Genowefa nie moze znieść.

I że ta nagła próba przenikliwości (Julia nie była nigdy przenikliwa) ma być atakiem.

– Nienawidzisz – Dorota spuściła oczy – Niemców?

Julia straciła w obronie Warszawy brata, tak jak Dorota swego w parzytanie. Bratowa Doroty żywiła dla szkopów nienawisne uczucia, o których mówiła ciągle i było w tym coś odrażającego: jakiś sadzym ciekawy, komentarze o zadach i brzuchach piwosów albo o drapieżnej urodzie Iorników („widziałas fotografie Moldersa i Marselle’a?”), tuż obok zapowiedzi różnięcia aż do najdrobniejszego dzieciaka.

– Nie wyglupiaj się – odzepnęła Genowefa – ciężki jej oddech był głośniejszy od słów. – Dosyć tego całego zawracania w głowie.

Sama już nie chce wiedzieć, czego, kogo nienawidzi – całego swego życia obecnego, przysłego, przeszłego.

„Do niczego jestem”, powtórzyła sobie Dorota. Mniej lub więcej strachliwych mężów, pasozrtów-bratanków, niezdolne się przystosować matki ma tyle innych kobiet, choćby i wśród Zab. Moze Julia przeceniła



11/1/24



po prostu własne siły – a ona jej na to pozwoliła? Sama przecież także nie znosi (często!) własnej bratowej, po co się huddzi? Lecz ta bratowa wystaje dla całego domu w ognokach, trzyma krótko dzieci, pali w piecach. ... Gdybym jeszcze paliła w piecach o szóstej rano, bo nalanej bratanicy z kompleksami się nie chce... Gdyby matka powtarzała mi: – Gdzie lataasz? Nie masz sumienia, żeby mnie tak zostawić...”

Genowefa znęca się teraz – umiętnie, jak wszystko robi – nad każdym człowiekiem w bliskim zasięgu, a jednak nie chce wysiadać, bo kto napaliłby tutaj w piecach?

– Melduj, komu chcesz, że się nie ruszę. A jak mnie wyrzucicie z komórki, trafię do innej i nie będziecie nawet wiedziały, jak wpadnę.

– Nie wyobrażaj sobie, że cię kiedykolwiek puścimy.

Sekretarka Zab odezwała się nareszcie; przyjeżdżam wsiód lekko drwiącym tonem. – Nawet Sabina twoje dawne gospodarstwo na Łączce wspomina z łezką w oku. No i chcemy zachować monopol na twój system spuszczenia bez szumu.

– I ty nauczyłaś się tego, angielski piesku? – mruknęła Genowefa już nie przez zęby. Były to największe możliwe z jej strony przeprosiny.

... Ale jeżeli Una wsiąkała, to przecież przyjdą tutaj jak po sznurku. Ej, Julia! Ty też wiesz, że tym razem to nie grymasy Ochronki! Naraz w mętym dnie lustra nad garską przebiśnięgów dostrzegła – dawną Julę, młodą i hożą, sprzed dwóch–trzech lat. Tylko tak strasznie zmęczoną, jakby zapomniała przez lata zwykłych ludzkich gestów, słów i siłita się je odnaleźć.

– Dorota, siadź. Siadaj mi zaraz, bo inaczej klapniesz – i ona spróbowała tego samego tonu. – Muszę ci, wiesz, coś powiedzieć. Joci tu u mnie nadają, co czwartek. Nie mogę wysiąść w tym tygodniu: obiecałam.

„A twój mąż?” taka była pierwsza myśl Doroty – ale przecież wyjechał, zarządza młynem czy czymś. Czula jednak, jak monstrualne wydał jej się za moment to, co wyznała Genowefa. Grzech przeciw komórci i w ogóle konspiracji – tym gorszy, że z kategorii „uczuciowych”. Coś jakby pierwszeństwo serca przed materiałem. Genowefa zlamiała podstawowe prawo, dwa nawet prawa bezpieczeństwa – dlatego że radioci, jej ulubieńcy, najzazwyczaj i najskuteczniejsi są ścigani po całej Warszawie.

Poza tym zawsze lubi maksimum ryzyka... Nie dla brawury jednak – czy wyzwania dała w tej chwili Dorocie broń w rękę: „Gwiżdżesz na dyscyplinę? Czy wiesz, jak muszę teraz postąpić?”

Ale jeżeli z Julą była trudna sprawa, Dorota po swojemu też nie była łatwa.

Z przedłużonego milczenia można już było wnosić, że wyjdzie i nie powie. Wyjdzie z całym nienaruszonym ciężarem sprawy. Pozostawiając tamtą samej sobie.

A Genowefę, taką jak dziś była, wyznanie kosztowało tyleż może co kiedyś Emmę, mistrzynię wszystkich łączniczek, prosty meldunek, że zapomniała pewnego pudła na dworcu: nie ukradli jej nawet, tylko zapomniała... (Ten czyn pozostał w pamięci Zab czymś bardziej godnym podziwu niż później śmierć Emmy).

Schylając głowę, Dorota półśmiechnęła się: – Wody mogę się napić? – Był w tym prawie żart: prawie potozumienie.

I z ręką na klanke drzwi kuchennych, uświadomiła sobie nagle źródło obecnej aury w tym mieszkaniu, znajomym jak własne: ktoś w kuchni o tej porze?... Pchnąwszy drzwi, zobaczyła montera przy kontakcie, próbującego palcem połączone żelazko; obok zlewu stał jego rower. Czy słyszał i co pomyślał o ich rozmowie?

– Co pan robi? – Genowefa zairzała.

– Znajomy... Tak, to ktoś swój.

– Grzeję, w porządku.

Dlaczego nie miałoby grzać? To gonic Jotów: był kiedyś na Łączce.

Dorota pamiętała twarz.

Chłopak od Jotów! Więc... Więc Julia musiała – nie mogła się nie przyznać. Bo wylazłoby samo. Jakiz wstrętny smak chloru ma ta woda z kranu! I nawet jakby nie zimna... Ach, głupstwo: musiała, nie musiała. Chłopak mógłby być także monterem, w cywilu; a zresztą... Nerwy na szmelc!

– Może pan śmiało mówić – Genowefa wylączyła spokojnie sznur. – Przyszli pana? Zmiana?

– Nie, takem tylko zaszedł. Pomyślałem, że u pani pewnie też jest wypatroszone, lewe żelazko: więc lepiej go narychtować – uśmiechał się, jakby zażenowany własną inicjatywą.

Dorota nagle odstawia szklankę. A Genowefa drgnęła, jakby wystrzelono jej nad uchem.

– Ale skąd... – spojrzaly na siebie: jakby szukając wspólnie ostrożnych słów. I jakby dzieląc się nadzieją, że ich nagły lęk to przywidzenie.





– Skąd panu w ogóle przyszło na myśl żelazko? – dokończyła Genowefa.

– A bo taka dziewczuszka od was, nowa łączniczka, podała okólnik dzisiaj. Nie wiem, od kogo. Ze skrytki w żelazkach spalone. Więc...

– Sabina! Czy to ja zwariowałam czy ty? Jak to się stało!

Choć nóg już nie czuła, Dorota stała pośrodku „poczekalni”, między dwoma bujającymi fotelami, ukochanymi przez łączność miejską. Sabina kotysała się, słuchając rewelacji o żelazku. ... Ile komórek już o tym wie? Ilu takich chłopców? Ile rodzin?... Tupnięciem zatrzymała bieguny:

– To Tuśka, zdaje mi się, zwariowała. Wasz Wilczek nie wpadłby na koncept... Idę! – wstała. – Gonić je obydwie, ale czy to dużo pomoże? Za dwa dni już po kawiarniach pójdzie detal, że AK w żelazkach nosiło radiostacje i granaty... W którym miejscu ona miała zastanowienie, Tuśka? A i ja też, że mi nie wpadło ją przestrec. Ale, Dorota, momentik, bo jak tu jesteście, mam interesy. O wyciągu z archiwum Łapci dostałyście?

– Nie.

– Dostaniecie przez pocztę dziś. I te mapy, bądźże człowiekiem. Do foto mają pójść, jak już ci coś mówię, to nie męją...

Zbiegając wbrew przepisom razem, poinformowały się wzajemnie, co myślą jedna o drugiej z powodu map.

*

Pilny Wilczek nie zapomniał powrócić okólnika również w nieznanym sobie dotąd, romantycznym jak buda cyrkowa przybytku anrykwar-skim w podwórzu, gdzie spytał o „drezdeńskie wydanie dramatów Kozłowskiego”, budząc lekkie zdziwienie paru bibliofilów – lecz zrozumiennie u właściciela.

Po czym na Górze zastał Isię samą. Depesz nie nadeszła, chwala Bogu, z Kampinosu z powodu obławy na kolei, a więc kto żyw śleczął dziś na chatupach. Dyzurująca Isia wypelniła czyrelnym maczkiem długię, sklepane ramki, co było wstępna fazą zaszyfrowania meldunku-kobylu, a raczej jednego jego rozdziału.

– Pani je takie śniadanie jak więzien.

Isia wgrzyzała się w kostkę razowca-„dźwiękowca”, popijając wodą z betabionem. – Gdzieś ty widziała, dziecko, takie luksusowe więzienie? – rzekła pogodnie i sięgnęła po pocztę, zapalwszy wprzód automatycznie papierosa: „Tylko pracownicy ludzie, mawiała, doceniają rozkosze lenistwa, albo w zastępstwie – dymu”.

Znajomy jak „kogurek” i tak właśnie złożony liścik władz wyższych nie wyglądał na depeszę do „za”. Spojrzała – i omal nie udlawiła się.

– Wyciąg o „Pawle”? Zamówienie wyciągu?!

Wilczek oniemiał: Isia! Isia czerwona jak upiór, gulgocąca...

– A czy ty wiesz, kobieto – przelknęła wreszcie gliniasty kęs – że oni chcieli... i dostali to samo dwa tygodnie temu?! Nasze lube szyzki i mandarynki. A kopii za Boga nie wolno chować!... Czy mnie wzrok myli: na jutro? A czy wiesz, co to wyciąg z półtora roku korespondencji?

Dostzegła wreszcie minę Wilczka. Wyprosowała zgniecionego papierosa i umieszcila go na powrót w łufce.

– Flegmatyk, widzisz, dziecko, nie lubi, kiedy go drażnią. Tylko san-gwinikom to dobrze robi: szczęśliwi ludzie. Na pewno nie strawię tego pieczywa... Bo ktoś tam z kimś drze koty, jak to było naprawdę w „Pawle”!... I nie skończymy M.117. Zaproponuj Szyszkom, żeby go wpisali za mnie i za Łapcię – dopiero nauczyliby się streszczać. Adresu Łapci nie znasz? Wiedziałam, pal licho.

– A pani nie zna?

– Znam, więc niestety muszę sama tam lecieć, niemowlę. A ty waruj tymczasem na Górze i niechaj się powiesi, kto czeka na twoją pocztę!

W godzinę potem Isia, wróciwszy na lokal, zastała tam Wilczka grzechnie „siedzącego na ognie”. – Pierwszy raz od początku wojny zeroshiłam się, no i właśnie okazało się szczęście w nieszczęściu – oznajmia tajemniczo. – Boś tu siedziała zamiasz uganiać z ozorem!

– Co?

– To, co mówię, Szczęśniatko. Widziałam Tuśkę!

*

Dojrzała ją w powrotnej już drodze od Łapci, wyskakującą z tramwaju w pełnym biegu. – Isia! Czy masz gdzie Wilczka?... Zatkaj go, na miłość boską!



– Bo co? Nawalił?

– Nie! Ja nawaliłam. I to jak...

W tramwaju Tuśka spotkała dopiero co Dorotę.

Była to dwudziestka piątka, zdezelowana, szarpiąca i zdobywana szturmem na każdym przystanku. – Wyjść nie zdążyli – biadał zrezygnowany konduktor – a już siłą trzeźwy pasażer pecha się do wozu. – Ludzie opuszczali wóz także siłą, rozchełstani, z nabytym impetem, jak zrzucałi ze schodów natręci. – Jeszcze im szkoda wysiadać! – zakpiła dobrodusnie jakaś babina, ale Doroty nie ucieszył tak stosowny do sytuacji okrucieństwa warszawskiego dowcipu. Popychana, rzucana na ludzi, którzy wszyscy robili wrażenie trzęsących się z furii, odkryła, że tramwaj – po prostu tramwaj, nie co innego – jest prawdziwą zmorą życia. Jechata aż na koniec Szczęśliwieckiej, do przedpiekła zwanego Kwaciarnią, lokalu Tuśki; i po kwadransie wóz opróżnił się cokolwiek. Lecz wtedy napętliły go dźwięki harmonii i najstraszliwszy, zdarty głos dziewczynski. I okazało się, że można wprawdzie zamknąć własne skrzydła na klucz, niepodobna jednak uniknąć kataryniarzy.

„Nam ducha nie złamie najsrozsza niewola...”, wyciągało nieco wstrawione dziewczę, gniojąc energicznie instrument.

... najsrozsza niewola,
Ni obozy karmne, więzienie i głód...

– Nawet u wycieruchów ikra jest – pochwaliła handlarka, wysypując złociszca.

W tej chwili Dorota dostrzegła Tuśkę i przepchnęła się ku niej. Nieznośny, nierozumny gniew, jaki wzbudziły w niej „obozy karmne”, znalazł natychmiastowe ujście.

– Coś ty zrobiła? – syknęła jej w ucho. – Coś robiła! Nie wiesz? Na pomoście było pusto. – Jeśli gadanie o żelazku dojdzie szkopów, to zrozum: koniec z Użą...

– No więc co będzie, Isia?... Pani Isiu? – Wilczek, naprawdę tym razem błąd, przysięgał sobie, że w życiu nie wymówi słowa „żelazko”.

– Nie twoja wina w każdym razie, Wilczek. Leć teraz odszczekiwać: to znaczy zamykać każdemu z osobna buzię. Może nie rozpaplali jeszcze bardzo...

– Ale że też Tuśka!

– Jednego, co się nauczysz kiedyś całkiem na pewno... – urwała, spostrzegając, że Wilczka już nie ma.

Rozłożyła stronicę M.117. I zastanowiła się, że rozsądku i przestrogi może jednak nie nabyła w robocie więcej, niż miała poprzednio. Co przychodzi z czasem, to wdech i pewne impulsy. A impulsy mogą nagle zmylić...

Dłatego w trzecim czy czwartym roku roboty niepodobna nie stać się choć trochę przesadną.

Nie spotkałaby się z Tuśką nos w nos, gdyby *primo* – ta ostatnia nie wyskoczyła na swych wysokich obcasach w biegu prawie pod auto, i *secundo*, gdyby ona, Isia, nie zamaraudziła się równie nieprzepisowo u Łapci. No i jeszcze gdyby łagodna Dorota nie „wyszła z nerw”.

Ten M.117 nie ma za to szczęścia. Ale to właściwie Łapcia rozgadala się ni stąd, ni zowąd, a nie ona.

W archiwum na Żelaznej Isia nie była od czasu, gdy pomagala Łapci zainstalować się tam. Nie wypadł jej jednak z głowy przepisowy dzwonek i prawie zaraz błysnęły nad łańcuchem okulary.

– Ale ja nie skończyłam jeszcze wpisywania! – Łapcia ściągala z niej gwałtem mokry płaszcz.

– Dawaj mi wszystko, co masz. Bo tu jest paszret dla ciebie: *da capo* parszywy „Pawel”. Na jutro!

Wrażenie było słabsze, niż oczekiwała zwiastunka. Zdaje się, że w ogóle Łapcia przeceniała wyrozumiałość trudy Szyszek w porównaniu z trudami zwykłych pestek. A w tej chwili triumfująco napełniała wózem Wójtona jedyną posiadaną filiżankę.

– Raczyło się zagotować na twoją cześć! I wyobraź sobie: kalamarz, ramka, wszystko na tym stole poszło wredy w drzazgi, a filiżance nici!

– Acha – Isia zdążyła sobie przypomnieć, że filiżanka jest imiennym wrem darem od komórki oraz że parę tygodni temu musztardowi wrzucili tu przez okno granat w czasie jakiejś nocnej rozróby. Parterowa, posępna kłitka i nowe, tandetne meble, z których połowa była skrytkami, nie wyglądały korzystniej po tej przygodzie. Z poprzedniego swego mieszkania Łapcia, wzór dyscypliny, wysiadła tak, jak stała: bez jednego laszka, rondla czy skorupy.

– Ale, dowód dla ciebie wczoraj przyszedł, Łapcia. Tu masz podpisać.

III/15/82



„Ow nocny granat Ochronka uznana za przyrządkowy, ale dla pewności zastąpić kazala pomarańczową arberskartę, zвычайnie świnstwo do pokazania tylko z daleka łapaczom – „lewym prawdziwym” dowodem karmielki wszy w Instruencie Higieny.”

Fotografia Łapci na tym solidnym dokumencie nadawała się, jak przystało wszystkim ówczesne, raczej do listu gończego przez swój wyraz ponuro-chudo-zbójcecki.

„Gdzie leży linia szczęścia?”, pomyślała Isia, parząc usta herbata: „Od jakiego to zera w górę jest się szczęśliwym? Ja podobnie całkiem wyglądam na kazdej foto i głowa ciągle mnie boli, a jednak...”

W epoce tego zdjęcia Łapcia mieszkała jeszcze z córką w milutkim pokoju z alkwą na zielonym Mokotowie, bywała przyzwoicie ubrana i miała książki. Po prostu, widząc, haniebnie fotografują.

– Ten Wojton-Ekstra nie wiadomo, czy jest gorszy w stanie płynnym w herbacie czy siekany w papierosie – westchnęła Isia z bezceremonialnością wojennego gościa. A Łapcia się rozesiwała. Niespodziewanie głęboko, wesoło.

Isia ją zrozumiała – dziwnie dobrze, chociaż nie z nazwiska, znaty się: „Bodajże teraz dopiero ona ma czyste, wesołe sumienie!”. Kiedyś, w trakcie odległej dyskusji religijnej, Łapcia wyznała, jak boi się o chrześcijan, i o siebie w szczególności, gdy bierze pod uwagę, że *f a r y z e - u s z* oddawał biedniejszym dziesięć i *n i e* i ani ziarnka mniei!...

– Nie wiem, czy to kumkanie chóralne upodabnia nas powoli naszym żaby, ale ja na przykład zaraziłam cię guzdralstwem.

Taką opinię wygłosiła Isia, zapalając jeszcze jednego krótkiego papierosa z tych, które w trzydziestym dziewiątym roku nazywało się natorowcami. I o tyle miała rację, że podczas gdy kurzyła dwa poprzednie, Łapcia ani nie zabrała się do wyciągu, ani nie spakowała M.117. Cóż, w tej pustelni na Żelaznej gromadzili się jej nie tylko szpargały, ale też wątpliwości i pół-wątpliwości – i przy spotkaniu wyrzucała to ze siebie spieszanymi, urwanymi zdaniem, których nie rozumieli by postronni.

Tym razem, blyskając „tragicznie” okularami, chciała wiedzieć, czy Isia zna słowa Norwida o *k o n s p i r a t o r c z y k a c h*?

– Nie pamiętam. Ale zgaduję, że to znowu jakas mała zadra.

– Bo słuchaj, ja naprawdę czasem... A ty nie?

– Dlaczego nie występujesz z tym do Doroty?

– Bo ty właśnie jesteś całkiem inna niż ona i niż ja.

– Ale Dorota tak samo by ci odpowiedziała – „trin trawa”.

– Jak? – Łapcia była z Krakowa.

– „Naplewać”.

– Isia, ty czasem udajesz, niedługo powiesz jak Sabina (czy też jej siostra?): plamne patriotki!

– A no bo swoją drogą plącą nam, nie? Oszalałabym, gdybym miała handlować.

– A ja...

– Czekał, a czy znasz słowa Norwida: „... kto jest subtelniej na świecie szczęśliwy...” – czy jakos podobnie?

Na to Łapcia aż zdjęła okulary. Zawsze dostrzegało się wtedy, jak bardzo jest mizerna i zmęczona. – Szczęśliwe konspiratorczyki?... – szepnęła, jakby zniżyła głos niesmacznego.

– Daję ci słowo honoru, że jest mi wszystko jedno, jak nas można nazwać.

– Tak gadasz, bo jako psycholog wierzysz w inteligencją przekorę.

– ... I chcę cię podnieść na duchu? Jedno ci tylko mogę powiedzieć naprawdę pocieszające: nie zostaniesz na pewno pułkownikiem! A jedno niepokojące: diabelnie jest późno!

Wstała i znów zaczęła szukać wiecznie gdzieś zakamuflowanej zapalniczki.

– Cała reszta to już kwestia gustu. Mnie na przykład odpowiada trzęwość piosenki „Jak to na wojence ładnie... Koledzy go nie żalują” itd. A ty jesteś jak Norwid antyromantycka, ale powtarzasz sobie...

Zerknęła w okulary Łapci, które migotały wyczekująco.

– Mówisz sobie, wiesz, ile razy usłyszysz normalną mowę pogrzebową o kimś: – Nie żyje już, chwala Bogu, spokój... – To swoją drogą postępek, nie uważasz: taki zanik panegiryzmu i tełki?...

– Ze co powtarzam sobie?

– Wiesz Słowackiego – Isia trzasnęła wreszcie zapalniczką. – „Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy: niechaj nas przecież widzą, gdy konamy”.

– Nie – zapewniła Łapcia prędko, jakby oczekiwała niespokojnie innych słów. – Ale to jednak piękny wiersz.

– Czy uwierzysz, że Nula beczala w szkole podczas patriotycznych obchodów? Wściekało ją to już wtedy, ładnych paręnaście lat temu, ale





lzy jak z niedokreconego kraniu. W kinie też... Ja nie wierzę nawet w Słowackiego. Łaskotliwość gruczołów.

– Ależ jesteście gaduła.

– Już więcej!... Przyjemnej zabawy z „Pawłem”. Wyciąś pewnie nazwiska i będziesz musiała „od”?

– Nie, bo pamiętam – Kapcia spuściła oczy. Tej historii, historii „Pawła”, naprawdę trudno było zapomnieć.

– Ale ja na pokarm dla ducha oraz narkotyk do poduszki biorę twoją cząstkę M.117.

*

Nuła zdołała nogę umieścić na stopniu, gdy tramwaj ruszał, lecz w tejże chwili ktoś ściągnął ją za piaszczak energicznie, że musiała zeskoczyć.

– *Achtung, du kleine...* – Niemiec wznosił się nad nią, jak wieża, ale nim zdążyła się przestraszyć, dojrzała opaskę kierownika ruchu. Auto przesuwniało obok, oświetlając jej twarz. – *Achtung, Mutti* – poprawił się zandarm.

Poczuła się rzezczywiście stara nad wiek, bo kolana nieco jej drżały, gdy bez słowa oddaliła się. W ciemności pomacała wałek włosów, był mocno zakręcony. Gdyby ten niedźwiedź był łapaczem, nie zdołałaby wyjąć i pokonać japoński ze straszliwie jasnym tekstem.

Spiesząc wzdłuż szyn opuśczałym tunelem ulicy, rozpuściła włosy i bibułkę wsunęła w palec rękawiczki. Słusznie czy nie?...

Czy miała też rację iść, zamiast czekać na następną tramwaj? Za trzydzieści pięć minut godzina policyjna. Mowy już nie ma, żeby wrócić potem do domu, ale żeby chociaż dojechać w porę! Dziesięć minut temu skończyła czytać depeszę; a przed godziną – tak, już przy karbidówce – wpadła nagle na jej sekret, niesamowicie prosy po tyłu zmuszonych, za witych próbach.

Przez całą noc poprzednią dopatrzyła się w owym „nieczytelniaku” tyle tylko, że musi to być podwojny szyfr: do poufnych wiadomości. Świeć, tylko że Joci nie dosłyszawszy, poknęła połowę cechy...

Nie śpiąc wcale dzięki pasyilkom niemieckiej perrityny i świecą latarką pod koldrą – bo niestety nocowała z nią dziś niewtajemniczona rodzina z Pruszkowa – kartkowała tam i z powrotem *Odbranę postów*

greckich. Już w szkole obrzydzono jej gruntownie „Bibliotekę Narodową”. A od trzech lat nabrała szczególnego i obcego znaczenia poglądu na niektórych klasyków.

Największą, rzecz prosta, zaletą Kochanowskiego była wzięłość: tak jakby z góry przewidział, że radiooperator może nie dosłyszec grupy z oznaczeniem strony...

Dopiero jednak nad ranem metoda jej, na wpół racjonalna, a na wpół intuicyjna, wydała pewien rezultat. Z kolejnego numeru depeszy dokopala się długości wierszy użytych tym razem: jako że cyfry siedzą na początku i na końcu. Dalej dopomógł jej nos: tak, tak, od razu czuła coś do „Białoskrzydłej morskiej pławaczki”...

Omiał jednak nie usnęła z rezygnacji, przekonawszy się, że trafiła całkiem dobrze – ale poza cyframi nie wychodził nic!

Jasne, że to nie tylko dziury w odbiorze, lecz pomyłka londyńska. Cholerna rzecz w tak precyzyjnym szyfrze (który od trzech lat chodził po eterze, śmiało wyzywa nasłuch szkopskich specjalistów).

Jasne również, że zupełnie rozbudzona pracowała w dalszym ciągu, zapominając o obiedzie. Wybiegła tylko po karbid o zmroku. I wtedy, właśnie bodaj w drodze, spadło na nią ośnienie. Przecież tam przechowiają spokojnie warsztat szyfranci – a nuz złapali bazę z wczorajszym hasłem? Oni też czasem się spieszą! Krótka depesza nosiła znak KKK. Ósmej wieczór już widziała, że ma rację: liery najgrzeźniej w świecie ustawały się teraz po porządku. Ósmej dwadzieścia porwała z walka maszynowy gotowy tekst. O tak, nie było ani chwili czasu do stracenia. Wypadła z domu, spuściwszy kalkę, bruliony oraz szyfr, nieczytelny dla nikogo oprócz niej. Lecz oto tramwaj uciekł i zandarm spłoszył ją z przystanku. Na następnym trzeba wyisnąć.

Ale niespodziewanie druga siedemnaście przebiegła obok niej rozdzwoniła na pustej zoliborskiej trasie. Nuła zaczęła biec, było to jednak beznadziejne. Przystanęła, łapiąc oddech. Wiedziała, że serce tłucze się w niej nie tylko z powodu niewyspania i perrityny.

Dłaczego Isia, kuzynka i przyjaciółka w tyłu rzeczach do niej podobna, nie boi się nigdy? To po prostu głupio! Zwyczajny rachunek prawdopodobieństwa: ktoś m u si wpadać, skoro jest ciągle polowanie; no a jeżeli się z a w s z e nosi jakiś materiał... Isia nosiła go zawsze, Nuła nie zawsze. Może dlatego właśnie nie mogła go nie czuć na sobie, jakby to





była swędąca krostka. Nie ukrywała, że woli chodzić bez materiału niż z materiałem, a tak naturalna skłonność długo dziwiła Zabę; potem przyzwyczaiły się do niej jak do dziwactwa. Zawsze robiąc swoje, ostatecznie nie potrzebowała się wstydzić. Co więcej, w trzydziestym dziewięcym roku była sanitariuszką u Dzieciątka Jezus i także robiła swoje: co nie znaczyło, by nie bała się bomb i pożarów. Ale aresztowania bała się również, i może więcej – podczuwała na wskroś racjonalne osoby z przyrocznym wykształceniem zachowywały się, i to całkiem szczerze, jakby miały czapkę niewidkę albo jakby szkopy byli w ogóle powietrzem. Pełna zazdrości dla tak cudownego ułarwienia życia, Nula szła szybkim, mechanicznym krokiem w kierunku Dzwonka.

Z ostrannym słowem depepsy, jak odpowiedź na jeszcze jedno trudne pytanie – wyskoczył w jej pamięci ten stary alarmowy punkt Jotów. Byłe dotrzeć tam, to już oni muszą znaleźć sposób, żeby uprzedzić ładowisko przed północą. Ale widziała już teraz, że godzina policyjna zastanie ją w drodze, na ulicy. Piastując depezę w dłoni, liczyła, że w razie czego zdoła ją połknąć. Ale co z tego wyniknie? Nikt się nie dowie o zmianie trasy „Mostu”, czyli lotu dwustronnego (czy to nie głupio tak nagle „zmieniać”!). A ona bez pożytku znajduje się na Skaryszewskiej, lub przedej na Pawiaku i w Oświęcimiu. Choćby nie wiem jak zgrabnie pozbyła się świstka-depepsy i zbladowała o spóźnieniu, umiętą przecież sprawdzać maszyny, a ta kartka, ta, co wyfrunęła kiedyś oknem na Topieli i nie wiadomo, co się z nią stało – była przecież z jej remingtona... Albo też najzwyczajniej zaszła na ulicy, jak wczoraj w nocy tego chirurga. Nonsens iść!... Czy jej wina, że tamci idoci nawalili? Siedzą sobie w Londynie i jeszcze się mylą. Licho też chciało, że o tej właśnie godzinie skończyła, nie pół godziny wcześniej albo później: po dziewiątej nie wyszła by przecież wcale. I że to ona właśnie, nie kto inny, rozgryza nieczytelniaki...

Właściwie, co najgorszego może się tam stać? Samolot nie znajduje ładowiska „Czajka” i zawróci: przyleci jutro albo za trzy dni. Cóż za terror przesądu, że łączność zawsze ważniejsza od bezpieczeństwa! A jak jutro położy się wszystko przez bezpieczeństwo?

A może nie zdążyły nawet z M.117 i z resztą poczty na „Most”?

To wszystko Nula myślała jednocześnie: tak właśnie jak zwykły się łączyć w jej głowie elementy równania. Na placu Wilsona rzuciła okiem

na fosforzystą wskazówkę zegarka. Piętnaście minut: dosyć na powrót do domu, jeśli natychmiast zawróci.

Ale niedługo potem ludzie na wyznaczonym ładowisku „Kaczor” zapalą czworokąt i kierunkową strzałę sygnałów i będą przy nich uważać od północy do świtu. Obstrawa, transport, wszyscy. Spory jest udziałem prawdopodobieństwa, że ta noc ich zdekonspiruje. Ile razy doszło do ludzi, Nula, jak kiedyś w szpitalu pod bombami, nie widziała wyboru: wracała po ludzi w ogień, przytykając oczy.

Ale czy Joci z Dzwonka poradzą cokolwiek? Czy w ogóle jest jeszcze Dzwonek na rogu Kozietulskiego? Szła wciąż tym samym krokiem w stronę ulicy Kozietulskiego, zgasiwszy latarkę.

Lata temu, tak, lata, nie kto inny jak ona, Nula, majstrowała tam jedną z pierwszych radiostacji: Bóg wie, czego wtedy nie robiły kobiety: jako fizyczka omal nie trafiła do Jotów. „Pewnie dawno by mnie już nie było”, pomyślała z odzieniem zazdrości, a zarazem nielogicznej pretensji. Potem nie nadawano już stamtąd, choć Dzwonek był istnym bunkrem z pancernymi załzajami: bo co pomoże bunkier przeciw nowej radiogoniometrii w autach? W samą porę umilkł i Joci zaczęli fruwać z miejsca na miejsce. Został tam tylko nasłuch i punkt alarmowy. Ale, czy jest jeszcze?

Naprawdę chyba nonsens gonić tak na ślepo – powinna zawrócić. Nie zawracala. W pewnej chwili spojrzala znowu na zegarek i skrećcia w ciemną jak grób rodzinny bocznice. Było już po dziewiątej – patrola chodziła raczej głównymi ulicami; i foksy, ale ci chyba nie zaczepiają. Dorota nic nie będzie wiedziała, gdyby... Una też się nie domyśli. Przypomniała sobie nagle o Unie; przez ostatnią dobę nie widziała się z nikim i pracowała jak w transie. Jezus Maria, co z Uną? A może ogólna wsyspa, może i Dzwonek nakryty? Szła ulicą tak czarną, że traciło się poczucie rzeczywistości, mówiąc sobie stanowczo, że wszystko jest nonsensem.

Nonsensem: czymś bez żadnej proporcji do człowieka. Bo i śmierć właściwie... O, bardziej niż co innego.

Próbowała czasem dawniej uprzytomnić sobie tę chwilę. Bo to będzie chwila, jakaś chwila: to jest ważne – więc jedna z tych rozspływających się, niezupelných, nieuchwytných. Bez punktu odniesienia. – Choćby w wiedziała całkiem na pewno, że On jest, ten punkt odniesienia, tak



III 13/22



jak wierzą Dorota i Kapcia – to zapomnę... – Bo chwila może być całym pustą, ta chwila – jakiś okropny niewypał czasu. Ty nie wystarczy żadne zwykłe środki, żadne miżerne codzienne „stawianie czoła”. – A skąd ty wiesz, że będziesz i wtedy tak samo wierzyć? – spytała kiedyś Dorotę. Odpowiedź wydała się jej wrenczas prawie żartem. Ale czy nie pasowała jakoś do zmyru niesamowitego niewypału?... Coś o ciszy, tak strasznej ciszy, że musi się TQ postyszczyć. – Kiedy, Dorota?... – Tak wtedy nie spytała, ale byłoby to logiczne: cisza to już przecież śmierć. Chyba że... Śmierć przeżywa się może naprzód.

Wtem oczyma nawykłymi do mroku zobaczyła parę rzeczy dobrze kiedyś znajomych. Czarność wielkiego bloku zwróconego do zbiegu ulic wąskim naroznikiem, w tym narozniku kwadratowe światelko dyżurności apteki – i tuż obok od strony Kozienuskiego buckę wartownika przed bramą biur wojskowych: to było oblicze Dzwonka, zapomniane przez trzy lata. Dochodziło wół do dziesiątej, ale nie przyszło jej na myśl cofnąć się; natomiast ze zdumiewającym spokojem podszła do budki, z której przebyskiwała luła schmeissera, i niebrywałe jak na siebie dobrą niemiecką spytała, gdzie tu blisko jest apteka. Niemiec, mruknął odpowiedź, biorąc ją pewnie za folksdoliczkę i postyszała własne kroki rozbrzmiewające w pustce nocnej. Odnalazła i przycisnęła dzwonek. Zaspana twarz w kwadracie okienka nie była znajoma. Po niemiecku zażądała surowicy przeciwdyferytowej.

Drzwi otworzyły się i Nula usiadła, klapnęła, dysząc, na wyplatanej, znajomej ławeczce koło zasłoniętej witriny: magister Klara, przecierając szkła, szła ku niej zza lady z uśmiechem rozpoznania.

Dzwonek istniał. I dotarła do niego.
Tak, istniał nienaruszony. Po chwili uchyliły się przed nią ostatnie, niewidoczne w trzeciej piwnicy drzwi. – Ta pani od Żab – oznajmiła magister, znikając.

W oświetlonym jasno schronie bez okien siedział ze słuchawkami na uszach zaroiński i rozneglizowany młody człowiek. Nula wręczyła mu depezę.

– Coś musicie zaraz z tym zrobić – zakomunikowała z ulgą przerzucanej odpowiedzi.

Nie był to nikt z szefów na pewno. Twarz, ręce, kombinezon robotnika.

Może pierwszy raz w życiu dostał do ręki tekst odczytany z jego cyferek. Obrócił go w palcach, popatrzył na Nulę i znów na depezę, marszcząc się z namysłu. „Może to Komar?”. Nulę zaswędziało sumienie za wszystkie własne i innych szyfrankie grymasy na niewyraźne pismo.

Operator wstał i pokłwał głową: zrozumiał, dlaczego tu dotarła, i uśmiechnął się do niej.

– Czy może pan uprzedzić te ładowska o zmianie: „Czałkę” i „Kaczora”? Macie tam punkty?

– Teraz byłoby trudno. Ale nie potrzeba.

– Jak to?

– Dziś nigdzie nie będzie pogotowia. – Podał jej drugą parę słuchawek. Usłyszała brzęczenie, które było melodią: śpiewem z płyty.

... tam za lasem wre potyczka

Słychać pierwsze strzały...

– To sygnal, pani wie?

Tak, pamiętała: ten mazur to odwołanie lotu na dziś.

– I na „Kaczorze” uszyli na pewno, bo już trzeci raz to dają.

Nula odwróciła się nagle, wciąż ze słuchawkami na uszach.

Jeszcze jeden krąg dokoła,

Jeden uścisk brami...

Nie była amatorką starych piosenek, a nawet sceptycznie zawsze patrzyła na dzwoniących ostrogami uianów. A jednak, jak na głupich szkolnych obchodach, idiotyczne nerwowe łzy zakreśliły jej się w oczach.

5.

Kapcia zbudziła się z poczuciem, znajomym z wielu przejść, że dzieje się coś niezwykłego, a zarazem wszystko jest w największym porządku.

To pierwsze wyjaśniło się natychmiast, bo siedziała na podwiniętych nogach na podłodze, oparta o coś wrzynającego się kaniem w kark: była to paka od węgla; lampka-żłodzię oświetlała kuchenkę, kolana wygniatały linoleum. To drugie zaś: krzepiące uczucie spokoju, miało może źródło w solidnym zmęczeniu wszystkich kości. Próbując podnieść

III 13/208



się na ścierpięte nogi, strąciła abazur, jaskrawe światło kazalo jej przy-
mknąć oczy. I wtędy z westchnieniem ulgi, jak odnajduje się rzecz zgu-
bioną, odnalazła swój sen. Raczej finał snu, podobny do finału symfo-
nii: burszynowo mleczny blask żniwa, słonecznej ziemi, rosoczarach
ładownych wozów zjeżdżających po pochylności rzyńska wolno, jak
w triumfie – nawet niebo całe złote i horyzont, jeżeli tam był horyzont?
A co było jeszcze? Och, wiedza – jakie to żniwa. I inna, lepsza jeszcze,
jak tajemniczy szept w głębi: „Zaden sen nie jest tak piękny, jak samo
żniwo”. Trudno uwierzyć, że coś takiego mogło się wysnąć: sen o przy-
szłym powstaniu.

Poderwał ją na nogi nieokreślony, lecz też znajomy niepokój „za
dobrych rzeczy” i z podółka osunęło się coś z cichym grzechotem. Ró-
zaniec. Podniosła go i schowała w kieszeń kity. W tym momencie do-
pięro ocknęła się naprawdę. I zobaczyła na podłodze płaską szufladę
kipiącą papierami oraz wypatroszoną, zięjącą dziurę na dole skrzyni-
skrzynki. Materiały do „Pawła”. Z nazwiskami i miejscowościściami, które
ołówkiem dopisywały... Sekretne w samej nawet organizacji rzeczy, w tej
chwili rozwleczone u niej, jak na śmietniku.

Przyłożyła zegarek do ucha, by się upewnić, że nie stoi: pół do trze-
ściej, noc. Ale przy zaciemnionych oknach można czasem zaspać do dzie-
siątej, jak w zaklejonym pudelku. Mógł ją obudzić dzwonek mleczarki
albo jakiś handlarz czy dozorca. Drzwi kuchenne były tuż... Nigdy w ży-
ciu nie zdarzyło jej się coś podobnego: zasnąć, nie zamknąwszy skrytek.
Sterczała ciągle jak nieprzytomna. Patrząc z takim niedowierzaniem, jakby
wszystko nagle skończyło się.

Gwałtownie chwyciła znowu różaniec. („Ślegasz po niego jak po
pistolet”, zauważyła kiedyś Dorota z tym swoim uśmiechem, który Łap-
cie łaskotał tkliwością w gardle). I uświadomiła sobie, że właśnie z róż-
zańcem w ręku zasnęła. Nie odmówiła dziesiątka do końca, może nawet
ledwie zaczęła. Bo modląc się, zobaczyła coś – zwyczajnego, niby do-
brze znanego. Ale nawet sen o słońcu żniwa okazywał się przy tym bla-
dy: Rzeczywistość, oczywistość daru Boskiego dla ludzi. Więcej, o, wię-
cej i wiele lepiej niż dla każdego chciałby jego ojciec i matka, i on sam,
i mędrzec filantrop, i poeta. Więcej wszystkim, więcej szczęścia.

Blakło to już, zacierało się: znów stronica katechizmu, a nie spotka-
nie.

A jednak pamiętała, że kiedyś, gdy nie wierzyła, i uważała, że wiara
w Boga oszukuje i odjada człowieka (a ją znów uważano za egzaltowaną,
teraz zrobiła się naprawdę trzeźwiejsza, ostrożniejsza) – otóż i wtędy
żadna z jej młodych wierności nie była tak hojna, tak zupełnie oddana
ludziom, wiążąca z ludźmi, jak to, co teraz miała im do dania.

Dostaje się, żeby dawać.

Ona tymczasem usnęła. I to nad nieskończoną robotą, jakże to było
możliwe? Nie zabezpieczywszy tajemnicy, której przysięgła strzec. I mo-
dlitwa, i sen nie trwały może razem godzinny. Lecz było to przestępstwo.

I teraz, po tej niepowrotnej chwili, inaczej już musi wyglądać odda-
nie – oddanie wszystkiego za wszystko. Smutna niewierność pokazała:
TO, TO właśnie musisz oddać.

Cale jej życie leżało jakby na ziemi, na stosie papierów, nad którymi
męczyła się i denerwowała przez wieczór i noc, bez cienia przecucia,
jak drogic sercu jest to, co może utracić. Tak, stracić, na zawsze.

Bo musi teraz zameldować władzy, że jest niezdatna. Ponieważ jest
nieodpowiedzialna. To jedno, na co w sobie dotychczas liczyła, zawio-
dło ją. Bo co do reszty widziała przecież zawsze, że wszystkie w komor-
ce (aż do tej maszynistki, co bębni jak ekspres z ortograficznymi błędą-
mi i genialnie telefonuje), wszystkie są od niej sprawniejsze, prędsze,
bystriejsze. Ratowała się sumiennością, pracą, niezłym zdrowiem.

– Muszę wystąpić: niechaj co chcą, myślą... – Czy to, że się nie bała
nigdy, nie było zwykłą lekkością? Powie cokolwiek: właśnie chcą-
by, że straciła nerwy, i nie da się przekonać Dorocie ani nikomu. Jakże
zuchwałą ufnością w Bogu było to także, że odmówiła maskoty z cyjan-
kali.

Zakrećto jej się w głowie, jak czasem po nagłym przebudzeniu,
i z całym okrucieństwem sprzeczały się w niej dwa głosy: – To są twoje
skrupuły! Wiesz sama, nikt tak nie myśli. – I drugi: – Musisz. Przysię-
gnij, że musisz. Nie oszukuj się.

Jak po broń znów sięgnęła po łańcuszek z matym krzyżykiem. Po to,
żeby narychmiał odłożyć go do kieszeni. – Idiotko – szepnęła z ulgą. –
Nie pora myśleć teraz, ani mądrze, ani głupio. – (W samoności mówiła
czasem do siebie). Jasne było, że nikt nie zrobi za nią wyciągu z „Paw-
ła”. Usiadłszy na ziemi pośród papierów, poczuła od razu taki spokój,
jakby nic nie przetrwało jej nocnej roboty.



Kiedy o jedenastej przed południem Isia pokręciła rytmicznie staro-
świeckim, ręcznym dzwonkiem, czekała potem cierpliwie, domyślając
się porządków.

Istotnie Łapcia chowała jak zwykle dokładnie, choć pospiesznie, prze-
patrzona po raz nie wiadomo który świstki.

A pomiędzy nie odkladała *ad acta* obrazy i twarze, przez które ar-
chiwum żyło dla niej. Jedną zwiąszcza, nieodłączną od „Pawła” – z którą
się rozprawiała rankiem, tak jak nocą rozprawiała się z sobą. Szpakowa-
to-„gniada” głowa, raczej może włośczęgi myśliwego niż oficera, kreso-
wy głos i spojrzanie: podpułkownik Z... Jeden z wielu. Rzeczywistość
tego czasu. Zatrzasnęła sprzęzynkę, poprawiła ceratę na skrzygni i wpu-
ściła Isię, która zdążyła już oroczyć się kłębem dymu.

– Genialny pomysł przyszedł mi, Łapcia, w tej chwili: poskromimy,
wiesz, niezdrawą ciekawość władz, tudzież ich zyłkę archiwalną. Skoń-
czyłaś?...

– Dokleję tylko załączniki.

– Teraz jest taki moment, żeby cały twój składzik dać na c m e n -
t a r z. Całkiem zwyczajnie: na Bródno...

– A wy skończyście?

– ... mam tam wyborny, zaciszny grobek. Co? Czyśmy skończyły? –
Isia runęła na krzesło, wyrażając tym gestem oburzenie. – Zauważyłaś
może, że jestem nieuczczesana? I z kopcim w nosie? Bo się nie myłam ani
wieczorem, ani rano.

– Pałła nie jak zwykle pomalunku, ale ssąc jak głodne niemowlę.

– Nad ranem – zaczęła się śmiać – ten wariat Goryl... bo wpisywa-
łam u nich... wylał sobie i żonie wody na głowę. I przez resztę czasu
nucił do wrotu maszyny: „Złote literki, srebrne numerki wyryć na gro-
bie”. No, nie przez cały czas, ale za to głos jak skrzyżowanie osła z gwiz-
dawką. „Złote numerki, srebrne literki – kazemy sobie...”. Ostro szła
był: galopka na maszynie, sieczka w głowie, kolek w paszczy, paraliz
w rękach...

– Dać ci herbaty? – przerwała Łapcia.

– Waleriany, chcesz powiedzieć? Nie, już nie potrzeba. – Ale gadała
dalej po swojemu: epickie dzieje finiszu M.117.

Łapcia to znała: owe nawalanki i otrzeźwienia, i rekordy rączności,
i zawsze brak czasu na sprawdzenie („medal, jeśli to wszystko przeczy-

tają”, mawiąla potem Dorota). Znała i ten wisielczy humor: istne zba-
wienie o świecie, przy pustym zołądku. Zazdrościła nieraz chatupom ta-
kich emocji. Ale w tej chwili myślała jeszcze o podpułkowniku Z.

Czy naprawdę dał się złamać tam, w „Pawle”? Nie uwierzono w je-
go ucieczkę; w tak szczęśliwie uszkodzoną karatkę więzienną. Teraz i ona
już przestała wierzyć. Z tym dotkliwym uczuciem napotykała go w pa-
męci jak żywego. „Przywiozę wam po powrocie lisi wąs”, mówił do
córeczek Tiry. „A mi też?”, upominała się młodsza (uchodził tam w miesz-
kaniu za ich wuj). „Nie, dla ciebie schwyć kulkę, co mnie minie”. Nie
minęła go polska kula. Choć nieprędko go poszukiwała. W skrzygni na wę-
giel był komplet depezz z „Pawła”, nad których błędami Nula omal nie
posiwiata. Odpowiadano na nie – coraz ostroźniej, nieufniej; aż wresz-
cie... Jeden jedyny człowiek mógł wydać szyft.

– Słuchaj, Isia. Pamiętajsz w lutowym Biulu... Napiętnowanie takich,
co spyją pod śledztwem?

Isia, która nie dokończyła zdania, spojrzwała zdumiona.

– Hm, tak... To było pod adresem głupich entuzjastek. No i może
szarż, które już na tamtej wojnie straciły serca, ale nie ambicje.

– Ale pomyśl, dla takiej Emmy, naszej Emmy, wredy... jak to jej cór-
ka maturystka sypnęła, zanim ją domęczyli?

– Och, przestań! Niemożliwa bywasz czasem: kiszki się przewracają.

No i przez ciebie zawsze w piętękę gonię! – zatoczyła się, wstając z krze-
sła. – Pierwsze, co ci miałam powiedzieć... i dlatego o tym archiwum
i Bródnie... Więc słuchaj, Łapcia! Z Uną jednak kiepska sprawa.

– Co? Co jest z Uną?

– I będziesz musiała wysiąść znowu, a szpargały...

– Dlaczego kiepska sprawa?

– Bo jedna fatalnie nawaliła.

– Która? – krzyknęła Łapcia, jakby pytając: – Kto zginał?

*

Górka był to lokal z obliczmem, dlatego choć młody, prędko obrastał
w tradycję.

Nawet po nocy w tunelowej czarności Chmielnej dostzegano się
wtrytnę fotografa na bramie, a w dzień śliczne spojrzenie młodej aktor-
ki na przedwojennym fotose; aktorka nie słygnęła talentem, ale to jej



III 17/30



zdjęcie zapowiadało istne głębie subtelności. Podwórze było arcywarszawską studnią; dwaj dozorczy olbrzymiej kamienicy na przemian udawali, że zamiatają; a równie obojętnie jak do śmieci czy śniegu odnosili się do kursujących z wawo lokatorów i jeszcze zważszych gości. Za to szara wyłizca, którą można tu było spotkać o każdej porze, z którymś znużonym domownikiem na drugim końcu smyczy, na każdego bez wyjątku rzucała się wściekle, mimo kagańca, i przechodnie odskakiwali zaskoczeni tą nieprzyrodzoną wyżłom złością. Rzędy brudnawych okien, rzadko otwieranych, patrzyły nieme i identyczne – obserwacja na tym podwórzu była łatwa i „niepodpadająca”. Nikt nikogo nie znał tu osobliście, a z widzenia poznawało się prędko wszystkich. Czy dozorcóm wpadła w oko liczna i kręcicka obsada Górki? Do starszego z nich, który handlował, Nula lub Tira zachodziły czasem umyślnie po ćwierć kilo słoniny, co nie mogło jednak uchodzić za solidne alibi. Lecz podobne właśnie podwórza i oficyny, z podobną robotą, zbyt ruchliwą i zmienną, by naprawdę zabezpieczyć sobie mogła pozory – to była przecież dobra połowa Warszawy; wedle rachunku prawdopodobieństwa szansa, że tu akurat zaginędździ się szpicel obserwator, przedstawiała się znikomą.

Wszystkie te i inne cechy Górki nieobce były Tuśce, pamiętającej chody z oblicza właśnie, a nie z numerów. Lecz owego szarawego popołudnia – którego data dla tajnej historii oznaczała odwołanie lotu dwustronnego, dla Zab zaś miała specjalne znaczenie – Tuśka objęła bramę, a potem podwórze uważniejszym niż zwykle spojrzeniem; tak jakby nawet wyzilić drąca pończochy chciała sobie zakonotować do brze na przyszość. Jej wzrok, którego błękitu nie gasiła najsmutniejsza szaruga, wywołał uśmiech przeproszenia u skwaśniałej damy przytzymującej bestię za obrozę, a po drugiej stronie podwórze miły emeryt z rozpięszczonym jannikiem uklonił jej się jako gorący, choć już platoniczny wielbiciel rasowych warszawianek.

Ze swą pękatą torbą niesioną lekko, jakby nie było w niej nic prócz kosmetyków i paru „górali”, Tuśka wkroczyła na schody, owe sławne, zawrotne schody Górki odbierające dech najmłodszym, wysportowanym łączniczkom. Zawróciła, by wytrzeć nogi o wspomnienie wycieczki, a właściwie zlustrować podwórze i bramę: dla porządku tylko, bo i tak kluczyła dość długo, by się upewnić, że nie ciągnie żadnego cynku.

Tymczasem o cztery piętra wyżej Isia odpoczywała z sercem pod gardłem i też z przyzwyczajenia wyglądała przez okno; lecz rozpoznawszy w dole zgrabnie sunący gołębiej barwy kapelusik, spiesznie podjęła wspinaczkę, bo nie miała ochoty, dzisiaj stanowczo nie miała, zetknąć się z Tuśką sam na sam.

W pięć minut potem koło fotosu aktorki i śmierzącego ścieku w bramie przeleciał jeszcze Wilczek. Zią sukę zabrano już wreszcie, choć przez przekorę nie spełniła spacerowego obowiązku; lecz grzeciwy jannik nagle rzucił się obszczekiwać gołe sinawe nogi: znał takie z kompletów zakłócających mu spokój domowy, o co miał zaledo swego emeryta-pana, tak jakby ten dla przyjemności oddawał mieszkanko roztrzępany licealistkom.

Isia, zdyszana, rozeznała rękę Nuli w energicznej kredowej kresce na podściście szóstej piętra: który to sygnał znaczył „dzwonić, wszystko w porządku”. Nula też otworzyła jej: – Wiesz? „Most” odłożony.

– Wiem. Jeszcze nam dosłali załącznik do M.117. Nie wytrzymali nerwowo.

Dorota skończyła właśnie adresować pocztę miejscową: pięć mikroskopijnych kwadraczków, a szósty do archiwum; były to przedwczorajsze „wymiotki z szuflad”.

– Z Jotami spokój?

Słowa padały niemrawo, Isia nawet nie przywitała się, a gwarne zwykle w chwili spotkań grono nie wyraziło dezaprobaty dla przyniesionego załącznika.

– Wilczek odszczekuje jeszcze wczorajsze!...

– Chyba: nie było go dotąd.

– Ale: Sabina znownu krzyczy o mapy.

– Mapy? – Z kąta odezwał się basem Kamil, logistyk, jedyny członek zespołu, który nie słyszał dotąd o mapach. Wyłaził właśnie, rozczochrany, bo tkwił tu od wczoraj, kombinując nowy szyfr na Ankarę (jako że Batiar wsiąkł z poprzednim w głowie). Żaby bały się jego genialnych a skomplikowanych pomysłów.

– Mapy?... – powtórzył z rotarzeniem, myśląc pewnie o logarytmach w hasle oraz matematycznej tępcie kobiet.

W tej chwili zamrugala lampka sygnałowa i do pokoju wkroczyła Tuśka.





„Biedna Tuśka”. Ktorejs przypomniał się wczorajszy gorący okrzyk Łapci. Sza widocznie powoli, bo nie zdyszalała się.

– Co tam, Tuśka? – Dorota spuściła oczy ku poczcie rozłożonej jak dziecięcy pasjans. Znały ten jej zazenowany wyraz. Ale twarz Tuśki nie była wcale skruszona. Trochę smutna, prawie wyzywająca.

W milczeniu położyła na środku stołu swą elegancką pryzmatną torbę, dzisiaj pękata. Teraz uśmiechnęła się, ale nie po swojemu, cokolwiek krzywo.

Odciągnęła zamek błyskawiczny. Wyjęła z torby duży przedmiot.

– Macie. – Było to żelazko.

Isia sięgnęła pierwsza. Stare żelazko przerobione z węglowego, zeszerniałą rączką.

– To Uny – wygłosiła na pół pytajaco, jakby wierząc i nie wierząc oczom.

Schylwszy się, rozpoznała je także krótkowzroczna Dorota. I Genowefa. Cisza zdawała się tak długi, że ostatnie, melodyjne uderzenie ściennego zegara zabrzmiało jakby dorzucone po namyśle.

Z uderzeniem godziny zjawił się Wilczek. Otworzył mu Kamil, ku wzajemnemu zdziwieniu, bo się nie znali, ale mała obcesowo wrażliła do sanktuarium.

– Wiecie już? – bąknęła, oszołomiona ciszą.

– Nic nie wiemy – Isia trzasnęła w zapalniczkę bez rezultatu i odłożyła ją, jakby poddając się sile wyższej.

Wilczek ucałował nagle z impetem Tuśkę. – Oj, za mocno! – mruknęła, odsuwając się.

– Przepraszam. Pani... złamała sobie ząb? Umyślnie?

– Ach ty, nikt by nie zauważył. Nie znac bardzo, prawda? – uśmiechnęła się po dawnemu.

Gdyby nie trochę krwi w szparach bielutkich zębów, nie byłoby chyba wcale znać: – A i to, pokazało się, niepotrzebnie.

Jedyna Genowefa nie patrzyła na nią, lecz na żelazko. Odkręciła młutę i wytrząsnęła wnętrze. Lecz wypadł tylko Biul.

– Nie denerwuj się, dostaniecie nowe „sady” – uspokoiła ją Tuśka od niechcenia. – Skoro Una, jak widzisz, zjadła tamte.

– Ależ Tuśka, powiedzi! Zmiliżuje się! – wykrzyknęły naraz chórem Zabry. – Widziałas ją?... Jakim cudem?! Puśćże nareszcie farbę!

– Nie ma głupich, proszę was.

– Ależ Wilczek i tak wygadał! No i przede wszystkim – ten grat kompromitujący jest z powrotem!... No?! Tuśka!

– A tośmy pomysłnie zadziałali – zamruczał z kąta Kamil, przegarnając czuprynę. Nula i Isia parsknęły śmiechem: pomruk oznaczał, że mag wypadł na lepszy pomysł oraz że nie wie wcale, co się wkłóło niego dzieje.

– No więc, moje kochane, o co chodzi? Dostałam widać żelazko poczta, jak wszystko, co do was przynoszę, prawda?

Genowefa oderwała oczy od Biuletyru, bo z natogu wsadzała nos nawet w stare numery: – Wiiesz, Tuśka – wycedziła tak agresywnie, jakby to tamta odpowiedziała była za przebieg wojny. – Nie zapominaj, że lepiej unikać u nas „cudów”. Nasze władze są pod tym względem równie nieufne jak Kościół.

Zabry w pierwszej chwili nie zrozumiał. Zdumiał je zwłaszcza wyraz twarzy Genowefy.

– Nie żaden cud, tylko odwieczna prawda: „Boh z durakom”, no i... – Tuśka ucięła. Zarumieniała się. A jeszcze mocniej zarumieniała się Dorota.

– Więc wedle ciebie, Genowefa, władze są zdania – Tuśka powoli zaciągnęła torbę – że kto jest cudowórca, ten jest prowokatorem?... Po prostu tak?

Rzuciła okiem na Dorotę, która wyglądała, jakby się chciała zapasać pod ziemię. – Co pleciesz! – tyle tylko wykrztusiła.

– Nie znasz Genowefy – dopomogła Isia. – Jak się zawsze piekli na Szyzki?

– Tudzież na Ochronkę i dyscyplinę, niech wam będzie – najspokojniej, ulżywszy sobie, Julia-Genowefa zaczęła liczyć hasło na przyszłe „sady”. – Ale wczoraj – rzuciła jeszcze przez ramię do Doroty – która z nas miała rację? Potrzebnie robiłaś gwałt?

Wszystkie przez moment milczały, „trawiając Genowefę”, aż bas Kamila zabrzmiął:

– Czy mogę was już uczyć nowego wariantu szyfru? Spieszę się, moje drogie.

– Ale gdzież tam! – wyrwał Wilczek, niepomny, że wcale nie zna młodocianego dostojnika. – Tuśka! Aj, pani Tuśko! Ja tak coś czułami!



Ja to powinnam była zrobić, a nie pani. Proszę, proszę nam opowie-
dzie! Ale wszystko...

– Cicho, szczeniátko. Czy nie uczyłam ciebie świętego strachu przed
Ochronką? I zapamiętaj sobie, że czasem lepiej *ne pas insister*, panima-
jesz? – Tuśka skończyła zapinać futro. – Ach, byłabym zapomniała.
Ochodzę. Zabieram stąd obecność swą. To znaczy: na dobre.

– Co, z Piątki odchodzisz? – Nula zrozumiała pierwsza.

– Tak.

– Ależ, Tuśka...

– U was nudno, psiapsiółki.

Tu Kamili odpedził gestem to, co w swej dwudziestoletniej surowo-
ści uważał za „babski rwetes”, i flegmatycznie zniecierpliwil się:

– No więc niech pani wypłyje wreszcie ten jakiś sekret! Bo inaczej
nie będę mógł do nich gadać. Są nieprzytomne!

Isia nie była nieprzytomna: – Mężczyźni nie oprzesz się, Tuśka,
albo cię nie znam!

– Nie chcę grać Tajemniczej Dany – sprowokowana zmierzyla „Męż-
czyznę” krytycznym wzrokiem. – Ale naprawdę nie ma o czym gadać.
Właściwie myślę, że opowie wam, niedługo może, Una...

– Una?!

– Tak. M o z e: nie cieszcie się na zapas, bo urzeczcie! Więc mówię
wam, że to było łatwiej zrobić niż tłumaczyć się potem w Ochronce.
I wy też nie wszczyńajcie mi tutaj jednej z waszych służbowo-moralnych
dyskusji...

– Jesteś wiśnią!

– ... przeplatanych bukaniam.

– Nie uprawiamy pryncypialnych dyskusji.

– I nie opowiemy nigdy Ochronce, pod chajrem. Amen!

– Bo też, jak zobaczycie, nie ma o czym... No więc wlażłam – z tym
zębem, bez niego właściwie – zbołała i roztażniona...

– Tam wlażaś? Do kociołka na Żulińskiego?

– Nie, do fotoplastikonu. A oni byli tacy zdumieni – skopy – że
spytały: pani skąd? Z Grójca?

– To bujasz: nie wyglądasz z Grójca.

– Ale w każdym razie uważali, że jak ktoś dotąd nie postyżał o ko-
tle, to musi być niewinny jak niemowlę i faktycznie cierpi od zęba.



– Dodaj, że byłaś kokieterynie mdlejąca.

– Zeszłowieczny repertuar. Byłam zniecierpliwiona, że przyszedłam
dwudziesta króśa do poczekalni!

– Prawdę mów, błagam! Puścili cię tam?... A Una?

– Nie pytałam o pozwolenie. „Pani doktor przyjmując?”, i wlażłam.
Wszyscy pacjenci kociołkowi siedzieli jeszcze na kupie i jedli akurat jakiś
paskudny krupnik, pewnie na sztucznych zębach dentystryki. A Una w kącie
pod oknem, patrzy na mnie jak na powietrze. Widzę, że torbę ma przy
sobie, nie było jeszcze rewizji – same chłopy zresztą pilnowały, żadnej
babu, a żapanie były przeważnie elegancki. Mnie sak w przedpokoju
przejrzeli, ku memu oburzeniu, i nic naturalne nie znaleźli. Trochę mi
jest niedobrze, siadam przy uchylonym oknie, z torby wyjmuję puder,
tłukę puderniczkę, zbieram. I z torby Uny wsadzam żelazko do swojej.

– Nie pilnowali?

– Zdaje się, powtarzali sobie właśnie jako kawał: „Pani doktor przy-
mując?”. Bo jeszcze rechotali, kiedy ja do nich znowu – po niemiecku
teraz i rozbijając – że tu, zdaje się, rewizja, a ja m u s z e do jakiegoś
dentystry! „Nie będę, proszę panów, wmiawiać, że wracam do dzieci za-
mkniętych na klucz, ale zęb to gorsze niż dzieci, *nicht wahr?*... Proszę,
to moja kenkarta”.

– Zapisali?

– Tak: lewe personalia nieboszczki Emmy. W tej chwili też nadeszła
jakaś szpicłowka i rozdziela mnie pierwszą w łazience, a torba została
w przedpokoju. Po czym, nie chcąc mieć jako dwudziestej dziewiątej
w kramie tak zupełnej idiotki, wyrzucili mnie z rąż otwartą torbą i słu-
czoną puderniczką.

– I z żelazkiem.

– I z połową zęba, który, pokazało się, niepotrzebnie ukrzywdziłam.
No a teraz, jako rzekłam, psiapsiółki, będzie was obsługiwał kto inny.
Już nie taka ofermka jak Tuśka. Dziarska Wiga, znacie ją?

– Wiga, pewniaczka? Ale słuchaj, co, myślisz, będzie z tym kotłem?

– Bodajże nic: same prawie kawiamiane buzie tam widać!

– Ale dlaczego pani odchodzi? – nie wytrzymiała Nula.

– O Boże, Tuśka, nie lubimy morowych eks-pewniaczki!

– No i co to jeszcze chciałam powiedzieć?... Acha, nudno u was co-
kolwiek. I... tak. Zapraszam was na pojutrze na bankiet pożegnany!
Nawet nie wiecie, jak mi się zawsze udają racuchy z cukrem.

6.

– Gorzej wam? – sentencjonalnie poinformowała się Sabina.

Zdążyła wysapać sześć pięter Górki jako niemy, ignorowany prawie świadek rozgrywanej się tu sceny.

Stół był odsunięty pod ścianę, a stojące Zabry, w dużym komplecie, klaskaly do taktu i śpiewały:

Siedzi wróbel na desce,
Szyje budy Teresece,
Siedzi wróbel na płocie,
Szyje budy Dorocie.

Na środku tańczyła Dorota. I to tak, jakby nic innego w życiu nigdy nie robiła.

– Więć i wy – wtrąciła Sabina między zwrotką a zwrotką – widzialiszcie już Unę?

– Ja pierwsza! – wrzasnął Wilczek. – Z daleka na ulicy.

Nie raduj się, Tereska,
Bo te budy dla pieszka.
Nie raduj się, Dorotka,
Bo te budy dla kotka –

Stare jak świat półbuciki Doroty fruwały nad zdarą podłogą, to znów były w nią zamaszycie, w jakimś ni to mazurze, ni to czardaszu solo – Sabina w każdym razie nie widziała nigdy nie podobnego.

– Czy Dorota była tancerką?... – myślała Nula. – Nie, nie tańczyła by.

– Ale pamiętajcie sobie, że Una ma kwarantannę. Wilczek, ani się waż do niej!...

– Nie wiem na-wet, gdzie mieszkał – odśpiewał Wilczek, przytupując.

– Zwariowaliście, widzę, z nieróbstwa. Łapcia, co ty na to?

Ale Łapcia nie dosłyszała.

Okulary jej znierruchomiły, jak soczewki aparatu wychwytnące bar-dzo, bardzo delikatne fale. Kto to mówił o „subtelniej szczyśliwych”?... Czy Dorota – kochała Dorotę – jest subtelniej szczyśliwa?

Naprawdę jednak właścicielka okularów nie miała dzisiaj ochoty na psychologiczne dociekania.

Siedzi wróbel na desce...

Una wolna! A Dorota tańczy, jakby w nią coś wstąpiło. Coraz inaczey tę samą zwrotkę.

Siedzi wróbel na płocie...

A ona, Łapcia, jest z nimi, i taka sama dziś jak wszystkie: tak bardzo razem, jak nigdy chyba z nikim. Co za radość.

I natychmiast zaciążyło jej serce od własnego dzisiejszego smutku.

– Nawet jak Joci zdobyli pierwsze połączenie w eterze, takeście nie brykały – orzekła Sabina, siadając. – Chociaż wtedy było „wi” i „wó”, i nawet pierniki, o ile pamiętam. A *propos* jeść: wybieracie się dzisiaj do Tułski?

Dorota przepłynęła znowu dokoła, nie widząc nikogo, niosąc się lekko, wdzięcznie a z powagą – niby młodzieńca dziewczyna gotowa zatańcować się bez pamięci dla samego tańca.

I komuś przyszło nagle na myśl, że ona tańczy nie tylko „dla Uny”.

Dawniej – dawno, jeszcze przed owym świętem Jotów – potrafiła czarem Dorotę podierać do szaleństw nawet kudłaty jej terier Kuba.

Lecz to było lata temu. I wyglądało inaczej.

Dzisiaj jakby na przekór tym latom radość zagrała w niej nagle harmonijną, zupełną – i Dorota roztańczyła się dla życia, każdym gestem mówiąc: tak! tak! tak! – na przekór wszystkiemu śmiertelnemu i nieludzkiemu. A gdy wstrzymała się zdyszana, z ciemnymi kosmykami stojącymi dęba, jej twarz jakby całowała powietrze.

Na przekór oddaleniu tańczyła dla człowieka, którego kochała. I który skądś, może z oflagu, pisze „tęsknię”, nie wiedząc, że tak pisać nie wolno.

– Łapcia, ty masz tragiczne okulary – chrząknęła Isia groźnie, aż tamta podskoczyła.

– Nie znęcać się nad szeregowym w demokratycznej armii – przewala Sabina, dziwnie łagodnie, prawie z westchnieniem.



Czyżby i Sabina to znana? Nawet kapitan Sabina... Dlatego nie myśli się o najbliższych. Az nagle coś podrywa, kaze wyzwać tęsknotę i czas, i to wszystko, co się może zdarzyć w każdej chwili.

– Zapytam jak wasz Karnil: czyście w końcu oprzytomniały i można gadać z wami?

Na to któraś przerwała głupiutką piosenkę, któraś roześmiała się.

– Do Tuśki idziecie dziś?
Teraz uśmiechnęły się wszystkie. Z „bankietem” była dopiero co heca – zanim się dowiedziały, że kociot rozpuszczony i Una wolna. Przedtem – jakże to dawno! – omalże nie skakały sobie do oczu. „Losujemy, kto zostanie na dyżurze!” – Proszone wizyty nie były sprawą błahą: jadło się coś naprawdę przeznaczonego do jedzenia. – Nie, nie losujmy! – Co, przesądna jesteś, Nula? – Nie wygłupiaj się, bo ja wiem, Isia, że ty skreślisz i nie pójdziesz! Raz coś zjedz, kiedy za darmo i dużo. – Cóż za prozal... – Uważasz, że jak jesteś bohaterko głodna, to... ech! Albo co ty nosisz na sobie? Nie chce ci się naprawić! – Proszę cię, żebyś mi cerowała? Albo żebyś cierpiała moralnie? Co? – Tak to poszło: isna plynypialna dyskuszja, jak by powiedziała Tuśka. „Ona to, a ja to...” Patrzyły teraz na siebie i śmiały się.

– Bo ja wam wszystkim, moje kochane, radzę się na zapas wyśpać – oznajmiła Sabina.

– Co? Masz M.118? – Tita wykonała gest, jakby się chciała rzucić przez okno z szóstego piętra.

– Prawie. Dziś wieczorem albo jutro rano dostaniecie. Teraz wam przyszedł tylko powiedzieć o Unie, i że nie potrzebujecie wysiadać.

– Nie wysiadaliśmy co prawda... jak widzisz. Duża kobyla?

– Oblęci.

– A na kiedy? Nie na „Most” już chyba!...

– Napomknęłam władzom, moje kochane Żabki, że dzień ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

– Jesteśmy ci obowiązane, Sabina.

– Ale się upierają, że na „Most”.

– Jak powiedziałaś? Dwadzieścia cztery godziny? A kiedy, moja Sabinko, spać? Uderzać w kimono, jak mówi poeta? Ja bo już trzecią noc tylko śnię o spaniu! – Isia przeciągnęła się.

– Ale ktoś powinien pójść do Tuśki – wracali nieśmiało Wilczek. – Bo byłoby jej przykro.

– Ty pójdziesz, jako jedyna analfabeta.

– O!

– No więc zabieram się, a Wiga wam to przyniesie. Dziesięć czy dwanaście stron. I na osłode powie, jaki dziś dobry komunikat z frontu.

– Co, serio?

– Nie czytałam, ale ona zawsze tak mówi.

– Idiotka! Tita, słyszysz? Może ona ciebie oduczy optymizmu!

Tita miała wyborny konspiracyjny wygląd sklepikarki, ale była właściwie mistyczką-mesjanistką. – Ja nie operam tego na komunikatach – zapewniła z cierpliwą wyższością.

– A na czym, na kabale?

– Dorota – szepnęła Łapcia ciągnąc ją za łokieć do okna. – Chciałam ciebie o coś prosić, ale chyba nie poproszę. Nie powinienam właściwie wcale gadać o takich rzeczach, tylko jakoś mnie rozebrało.

Twarz Doroty, wciąż jeszcze jasno rumiana, powracała jakby z daleka, budziła się.

– Wiesz, moja córka, nie znasz jej, choruje: coś przewlekłego. Dowiedziałam się przypadkiem – okulary Łapci tłumaczyły się zawstydzone, choć żadna służbowa podejrzliwość nie zjawiała się w przebudzonych szarych oczach o zwolnionej reakcji. „Jak ona odmłodziła dzisiaj, o ilez jest młodsza ode mnie” – Łapcia czasami czuła się równolatką nawet Wilczka.

– Więc chciałabyś ją zobaczyć? – Dorota, z dogasającym w twarzy i w głosie żarem tklivości, nie mogła nie rozumieć tej nierozsądnej moze wiary czy pewności, że bez nas bliscy są w nieustannym niebezpieczeństwie.

– Tak. Ale wiem przecież, Dorota, że mi nie wolno.

Sekretarka Żab złożyła opadający kosmyk i rzuciła okiem na Sabinę w płaszczu, jakby w tej chwili dopiero ją zauważyła. – Zaraz, w tej chwili, Sabina – mrknęła z zazenowaniem. – Dam ci numer...

– Posłuchaj, Łapcia. Przecież naprawdę o wiele lepiej, żeby o n i byli z daleka od nas. – Znowu miała swój zwyczajny wyraz, na pozór trochę zdziwiony, ale naprawdę niedziwiający się niczemu. – Dla nich lepiej: na pewno, Łapcia. Jak najdalej... Ale ja ci się dowiem o twoją Marysię, przez kuzynkę na kompletach, dobrze?

III/13/25



Fragmenty poematu o Górcie

(który tego wieczora ułożyły wspólnie Żaby, czekając na Wiga, podróżując, odkrywając się poduszkami z kanapy i jęcząc, że horrendalnie chce im się spać oraz Jeś. I że jeżeli M.118 napisali Politycy, to będą bzduiry).

Znasz li ten kraj,
Gdzie wieczne trwają lody,
Gdzie wiosną z ust
Kłębami para bucha,
Gdzie braknie tchu,
Nim wdrzesz się na schody –
Znasz li ten kraj?
Czy znasz czy nie, posłuchaj:

Regularne jak pociągi,
A znane jak złe szelągi,
Pomykany przez podwórce,
Gdzie się nam kłaniają stróże,
I pan z pieskiem, i nie z rzadka
Nagabuje też sąsiadka....

(W tym miejscu ktoś zaklął serdecznie, że nie poszedł na bankiet do Tuśki, a Wilczek oznajmił, że ma pięć złotych, więc kupi chałwy. – Bogata z domu! – zdziwiono się).

... Ach te schody! Po wsze czasy
Zdeptały je konsp-obcasy.
A gdy myślisz, że narazicie
Jesteś na tym Evereście,
Gdzie znajoma czeka kreska –
Uf, dopiero Chrościelewska!
Pasia cię ogarnia szewska.

(Wilczek powrócił z chałwą, wobec tego uznano ten wieczór za Imieniny Duszy i rozparcelowano ucztę za pomocą podziałki milimetrowej).

... Jeszcze pięć Komarów dzisiaj,
Z zątecznikiem czyha Isia,
Brzmi chór Zabi coraz słabiej;
Czy strawimy kryptominy?...

TEMATY I REFLEKSJE

... Jeszcze gwoździe, jeszcze pasy,
I Groteski, i Atlasy,
Jeszcze węgierskie nazwiska,
Położenie łądowiska,
Tudzież polityczny zamęt.

Wszystko Komar: w takim stanie
Bywa rozbitka testament
Po trzech latach w oceanie –
Komar widmo, Komar mara,
Cień cienia bazgroł Komara....

(Tu Nula zaprotestowała, wspominając miłego operatora Jotów. I uradzono natychmiast, że jutro pocztą prześlą Komarowi w prezencie lepiej zatemperowany ołówek. A Isia jako kontrolerka od „dep.wyw.” podjęła natarcie w innym kierunku:)

„Przyjaciele” wpadli w szal;
Gdzie się podział Geisenu?
I czy stary Scharnhorst szezeli,
Płnie wiedzieć chce I. S.
„Więc nie tracąc ani chwili,
Poszukajcie ich jak szpilki!” –
Aby po setnych kłopotach
Zliczyć dziury w tych gruchotach!

Jakoś w tym miejscu ozwał się dzwonek bez sygnatu. Wszyscy spojrzeli na zaplecze – dzisiaj wyjątkowo było czyste.

– Nie otwierajmy. Może komornik, jak wtedy?...

... Ktoś w drzwi twardą wali łepą:
Czy to poczta, czy Gestapo?
To komornik. Typas brzydki,
Zafantować chce nam skrytki!...

– Ależ to Wiga z materiałem, wariacki – ocknęła się Tita.

– Nie wpuścimy materiału przez duże M – ziewnęła Isia. – Niechże się nasi dręczyciele raz nauczą przepisów bezpieczeństwa!

Światelko nie zapłonęło, lecz dzwonek odzywał się grzeczniej a upo-rczywie.

III 13/195



– Ależ otwórzcie, baby, przecież wiem, że jesteście – Dorota podkradłszy się, usłyszała pomruk zza drzwi i Wiga we własnej osobie wkroczyła, zapewniając, że „szkopów leją od wczoraj”.

Po czym okazało się, że M.118 to przeszło tuzin gęstych stron, ale że ma być gotów dopiero za cztery dni.

– A więc czy mi się śni, kochane, czy też dziś w nocy będziemy spać?

Nikt się jednak jakoś nie ruszył: ani do roboty, ani do wyjścia. – Trupałnia czy co? – zdziwiła się dziarska Wiga i wymaszcerowała.

Ale były to Imieniny Duszy – które podjęto znowu po jej wyjściu. Gospodyni Górki wystąpiła nawet z gorącym kapuśniakiem i białym domowym chlebem! Lecz przypomniała także – godzinę.

... Gdy czas sprzątać, papieraszki

Zaczynają swe igraszki:

Tu pasiczki pod kanapą

Chcą doczekać się Gestapo,

A brulionu strzęp malutki

Wpaść w objęcia pani Ziutki...

Pakując się, bardzo dzisiaj powoli, komentowały przepłatanymi głosami:

... Coś z biurka, coś z toalety,

Coś do podłóg, coś do prania –

Oszalały te kobiety:

Oczywista kleptomania!

A gdy czyste już mieszkanie,

Sygnat mruga, dzwonek kwili...

Wilczek po trzecim spotkaniu –

Z nim dwanaście Krokodyli!

– Oj nie, moje drogie: uciekajmy! Jeszcze naprawdę jakiego nowego podrzutka doczekamy. Osobiście mam dosyć. *Rien ne va plus.*

– No a do M.118 pewno się Genowefa pali, co?

– I może Goryle?...

– Zobaczmy jutro – najezyla się Isia. – Nie przesądzajmy wypadków.

– Proszę pani – zaszeptał Wilczek do Nuli na schodach. – Czy to prawda, że na prowincji nowy człowiek wpada najdalej po trzech miesiącach?

– A bo co?

– Bo Tuśka, dowiedziałam się, poszła na kurierkę... Do Lublina

czy też gdzieś. Dlaczego?

– Nie wiem, Wilczek. No, właściwie może i wiem... Może nawet i ty wiesz.

– Ale dlaczego się zgodzili?

– Och, tutaj jednak zapamiętało ją sobie kilku tajniaków, wtedy na Żulińskiego... Choćby prywamnie, ale zawsze! Więc racja była!

7.

– Że będzie wam niewygodnie, to trudno. Wasza komórka jest i musi być specjalnie chroniona.

Isia westchnęła, patrząc przez chmurę dymu w stanowcze oblicze mówiącej. Lipka nie była jej władzą, ale wezwała dziś Zaby służbowo i, co gorsza, do lokalu Ochronki. Wszystkie komórki warszawskie straszyły klientelę Lipkowskiej. I na ogół nikt się na nią nie uskarżał: miała dar wykopywania po prostu spod ziemi wszelkiego rodzaju lokali, z gospodarzami lub bez. Aż dziwnie było przypomnieć sobie, że tę siwiącą, przygarbioną nieco osobę znało się przed wojną jako specjalistkę od sanskrytu oraz filozofii wschodnich. Niezależnie od jakiegoś tam alibi nabrała rozmachu i stylu szefa wielkiego przedsiębiorstwa, co było naturalnym, widać, choć niespodziewanym rozkwitem jej drzemiących dawniej możliwości. Spośród wielu setek warszawiaków, z którymi miała obecnie do czynienia, pewna część uważała ją za zbyt sprytną i praktyczną, żeby mogła „siedzieć w konspiracji” – z tymi pertraktowała na płaszczynie pieniężnej, ku zadowoleniu obu stron. A większość, z którą grało się w otwarte karty, zwykle po pierwszemu już konferencji zrzekała się wszelkich zastrzeżeń, oświadczając więcej, niż było w projekcie.

– Nie możecie na Górkę dwa razy dziennie deflować po sześć czy osiem osób przez podwórce.

Dozorówka na Okopowej, gdzie rozmawiały w tej chwili, na pewno służyła tylko na pojedyncze spotkania. Hasłem było tu zamówienie



na papierosy; w przechodnim pokoju Isia rzeczywiście widziała pięcioosobową rodzinę zajęta nabijaniem tutek samosiejką. Z pewnością żyli z tego, a jakiemuś znajomemu – z pulku może czy z fabryki – udzielili mieszkania dla „wojskówki”, nie pytając o więcej. Tacy ludzie i takie mieszkania na rojnej, proletariackiej Woli to był ideał, ale niestety nie dla Żab z ich maszynami i stertą szparagalów.

A swoją drogą przy spotkaniach ktoś prędzej czy później naprowadzi tu cynk, a wtenczas... Ochronka będzie chyba ostrzeżona w porę, ale ci młodzi robiący papierosy (już nie mówiąc o babci) wątpliwe, czy zdążą uskokoczyć do lasu.

– Musicie, Isia, mieć dwa równorzędne lokale dyżurne dla dwóch równorzędnych osób, które wszystko u was wiedzą.

– „Una!...” – odpowiedziała sobie Isia, nadstawiając uszu. I przytaknęła.

– Ale to alibi z krawcową – powróciła do dyskusji – nieraalna rzecz, Lipka. Śmiałyśmy się nieraz, jak to zrobić: kto ma być stale w negliżu, a kto ze szpilekami w zębach. Przy naszej robocie...

W tej chwili wszedł bez haśła osobnik, którego chuderlawa postura i kasztanowate wąsy wydały się Isi nieco znajome, lecz niezupelnie. Kiwnął głową i usiadł.

– To nie Una – mruknął. – To Isia z Żab – objaśniła Lipka.

Tak, widziała go już raz, tylko bez wąsów: to był Krogulec, zwany Widelcem, bezpiecznik Piątki; miał niepokojący wygląd zbyt mądrego zwierzęcia, jakie widuje się na starych rycinach u boku czarownic: może koźla, który jest właściwie drugorzędnym, smutnym diabłem. Myśląc tak, Isia skostatowała równocześnie: „Więc znowu Una!”

– Czy Una jest wam bardzo potrzebna w pracy? – Krogulec podniósł oczy na sufit.

– Konieczna – pospieszyła go zapewnić delegatka Żab.

– Chodzi o urlop i kwartantę dla bezpieczeństwa.

– Czemu nie? Ale tylko ona i Dorota wiedzą wszystko.

– Jak to? Ty miałas być dublem Doroty, nie Una, i wiedzieć wszystko – poruszyła się Lipkowska, świadoma personaliów prawie tak samo jak adresów.

– Ja nie wiem i nie będę wiedziała, bo nie pamiętam!

– A o Dorocie znowu była mowa, że nie chce coraz większej odpowiedzialności, bo nie potrafi.

– Tylko Dorota sama szerry takie wieści, ale...

– Jakies dziwne tam u was stosunki – stwierdził Widelec. – Więc kto właściwie?

Wszyscy – miała ochotę zawołać Isia – wszyscy są niezbędni i nikt więcej! Ale na szczęście nie wypsnęła jej się tak mało służbowa uwaga: szelest na wycieracze i cichutki dzwonek przyprowadziły ją o przecznice.

Tak! Weszła Una.

Mruknęła tylko do niej i przysuwając sobie krzesło, uśmiechnęła się do wszystkich.

Szczurek tak samo zielonoblady jak zawsze, ze swoją krótką czupryną i twarzą bez wieku, chłopięcą i chorą. Wojskową, spokojną – która dla Isi była najbliższą sercu twarzą konspiracji.

– Więc mam powiedzieć, jak było – zwróciła się do Krogulca. Znała go z pewnością, tak jak wszystkich znała, od zawsze.

– Często wiem od Tuśki... – nie dokończył i skrzywił się, poruszając jednym wąsem.

– No więc najajutrz skończyli rewizję. Sześć osób młodych i zdrowych zabrali na wywóz na Skaryszewską, a resztę puścili.

– Nie chodził za panią nikt?

– Nie.

– Dane oczywiście zapisali?

– Tak. Miałam karę chorobową, akurat tydzień temu uzupelnioną, z Przychodni Przeciwgruźliczej.

– Chce pani wziąć urlop?

– Nie. I naprawdę to niepotrzebne. Wypuścili nas dwadzieścia pięć osób, w tym mężczyzna także.

– Czy u was się dubluje kierownictwo? Wszystkie funkcje w zasadzie powinny być dublowane.

– U nas się tripluje z konieczności. Albo też jedna osoba dzieli się na trzy kawałki. Wola boska.

– Demokracja – pozwoliła sobie wtrącić Isia. – A przecież jakoś się trzyma.

Lipka uśmiechnęła się. Widelec wstrchnął.



III 15/38



– No, ale z waszym lokalem przedawanym okrągły tydzień nie może tak być. Weźmiecie jeszcze ten bajzel Lipki.

Lipkowska podniosła brwi, a Una spytała rzeczowo:

– Ten interes nad „Narcyzem”? Urzędowałem tam trzy lata temu, jeszcze nie z Zabami. Dziękuję.

– Dlaczego? Ja też tam urzędowałem i było dobrze.

– A wpadali do was szkopy zamiast do wesolych dziewczynek?

– Ze dwóch czy trzech szturmowało. Przeprosił każdy i poszedł.

– Z naszą robotą to niemożliwe.

– Nie dawajcie tam maszyn i hurtowni z papierami.

– A z czymże innym my mamy hurtownię?

Isia podziwiała odwagę Uny, jako że Widelca bali się wszyscy.

– Chociaż by nawet obiecały – Lipka okazała się zachwiana. – Poju-

trze puszczą w ruch dwa remingtony.

– No więc co? Czy ma pani dla nich coś innego? – zniecierpliwił się.

– Na Górkę też niedługo zajrzą szkopy, myśląc, że bajzel, skoro ich tam tylu hażi!

– Zaraz... a jak z Chlewikiem? O Batiarze wiadomości nie ma pan?

– O tym skoczku? Mam. Wykończył go, nie sygnął nic.

– No to Chlewik tak jak czysty – ucieszyła się Lipka.

Przemówienie pogrzebowe... Ile to lat temu posłyszala Isia pierwsze podobne? I mówiła sobie wtedy, o, było się młodym: "... Czekaj go po grzeb z honorem wojskowym...". Nie tylko poległemu, ale kandydatom na to samo właściwie jest chyba wszystko jedno.

– Z powodu Batiara tyłko – Una potwierdziła – wysiadłyśmy stamtąd.

– No to wracajcie na Chlewik. Tyłko sprawdzić trzeba, naturalnie.

– A Una może wracać do pracy – dodał po namyśle Krogulec. – Ostrożnie, nie na całego jeszcze. Pierwsza za kwadrans już? Do widzenia.

– Wiesz – Una dogoniła Isię na schodach. – Gdyby nie Tuśka, która widziała, jak było, nie wyszłabym tak łatwo czy sta.

– Stąd, chcesz powiedzieć? – choć mina Uny była jak zawsze nieprzenikniona, Isia pochwyliła odcień wyrazu. Wzruszyła ramionami. Może rzeczywiście to słuszne, będąc na miejscu Krogulca, myśleć, że każdy za cenę życia może zostać prowokatorem? A Una szczęściem nie jest nadwrażliwa. Ale kto ją tam wie – Unę – jest czy nie jest?

– No więc do zobaczenia na Chlewiku! – wymknęły się z bramy każda osobno.

8.

Trzepotanie się i geganie zastanowiło Wilczka. Ale poprzestała na domysle: „Widocznie u tych szkopów-sąsiadów” – i wyjątkowo statecznym krokiem przestąpiła furtkę ogrodową. „Jak tutaj sympartycznie. Dlaczego tak brzydko nazwały?”.

Pani, która na krótki i długi dzwonek prawie natychmiast otworzyła, okazała pewne zdziwienie i rozczarowanie.

„To ta druga, chuda...” Wysyłając Wilczka na rekonesans dlatego właśnie, że nie był na Chlewiku znany, Żaby zaopatrzyły go w dokładny rysopis osób, łącznie ze śmieszny biały pincetkiem, obwąchującym teraz nowe nogi. Najwidoczniej wszystko było w porządku.

– Przychodzę od pani Lipkowskiej.

Chuda – czyli siostra pulchnej, siwej – rozjaśniła się, lecz zawałata. Machinalnie zrzuciła fartuch. – Proszę, proszę! W tej chwili, zaraz! Moja siostra Stefania zaraz... – i znikła za drzwiami.

Rysopis pań z Chlewika był prawie wyłącznym dziełem Isi, bo okazało się że nikt inny dokładniej nie zapamiętał tam nikogo – prócz pinczelka niemego jak zabawka. Co prawda też obie siostry rywalizowały, dość zajądło nawet, w dyskrej i niewidoczności – przy najdalej posuniętej usługowości. – Nie rozumiesz nic! One nie mogą o takich głupstwach pamiętać! – fukały czasem na siebie, gdy deszcz zalał podłogę przez otwarte okno lub budy obitoły dywanik. – A ty myślałaś... – Ja? Ależ nic nie myślałam! – Nawet znalazłszy przy sprzątanii przytająony złośliwie papierek Żabiego pochodzenia, oddawały go w kopercie przechowywany przez noc na łonie, bez słowa wymówki i nie rzuciwszy nań okiem.

A jednak pulchna pani byłaby dotknięta, gdyby wiedziała, że Dorota i Una nie są w stanie jej opisać. Na samym początku pomagała w robocie, nie u siebie jeszcze wtedy; stukala na maszynie, uczyła się pierwszych łarwych szyfów – i coraz mniej rozumiała, co ją niezmiernie dziwiło. Wkrótce też w oględnej formie posłyszala, że Żaby reflektują ją bar-



dzo na jej mieszkaniu, ale nie na jej osobę. – To jest zresztą dużo niebezpieczniejsze, daję pani słowo.

I tak już zostało. Pani z Chlewika pogodziła się z Iosem, zwłaszcza odkąd Dorota wspominała umyślnie przy niej o pewnym profesorze uniwersytetu, który chciał, ale nie potrafił dyktować cyfr po porządku. Obsada lokalu zmieniła się parę razy, okresami bywał też spalony albo „śmierdzący”. Odwiedziła go raz rewizja, po której znikły kolczyki i pięć dolarów. Zdaje się, że były to jakieś pieszki folksdolcerskie – zapewnili właścicielkę, że o ile ona nie ma pretensji, oni też nie zgłaszają żadnych. Sentyment pań pozostał przy pierwszych lokatorkach: Zabach.

Toteż „ta główna”, siwa, aż zaśmiała się z radości, gdy Wilczek z miną objętej wygi oznajmił, że skoro wszystko w porządku, nikt nie był, nikt się nie kręcił, to Zaby jutro wracają. Na schody wysunęła się młodsza, chuda, z szalkiem w rękę, który Wilczek umyślnie zostawił, żeby choć na dzisiaj się go pozbyć. – Proszę, to pani! I proszę powiedzieć paniom, koleżankom niech pani powie: m a p y!

– Co?

– Tylko to: mapy! Dobrze?

Giechutko zamknęła za sobą drzwi, bardzo zadowolona. A Dorota, odbierając w pół godziny potem relację, głowiła się:

– Czyżby Sabina tam była i dokuczała? Niemożliwe, skoro nikt nie był.

Nazajutrz Wilczek zdążył obejrzeć sobie hodowlę gęsi oraz pobawić się chwilę z pinczerm, próżno prowokując go do wydania normalnego pisiego głosu – nim zabrzniał pierwszy krótki i długi dzwonek. Genowefa wkroczyła i wcale nie przejąwszy się triumfalną ważnością Wilczka, rozejrzała się z wyraźnym niesmakiem. Wszystkie meble w pokoju były rozdzielnymi pseudoempiriami. Na stole – prymula, na zapleczu batikowane poduszki. Ani jednego papierka, nawet popielniczka lśniła niepokalanie czysta. Genowefa, choć najbardziej domowa i porządnicka z Żab, weszła na tak mieszczkańsko-nieślubowy wygląd Chlewika.

– A maszyna? – zagadnęła surowo. Nie czekając odpowiedzi, rzuciła na stół dużą, modną puderniczkę – przedmiot niedostosowany do jej wyglądu – i spod lusterka wydobyla świstek sztyftu.

– Ma pani robotę? – zaciekawiał się Wilczek.

– Ech nie, to kopia, z M.117 – na kartce z notesu zaczęła obliczać.

– Niech pani i mnie przy okazji pokaże trochę. Ja już troszeczkę umiem. Bo na pewno kiedyś...

– Tak, wrzasań któregoś dnia: jak to? Wilczek jeszcze nie umie – skrzywiła się Genowefa, scyzorykiem wycinając pole. – Ale przedtem będą ci kładły w uszy: łączniczka nie ma nawet wiedzieć, co sztyft, co clair!

– No, ja i tak już muszę na spotkanie z Jotami – zgodnie zakończyła kwestię „mała”. Po czym wyszła na Skwer Wielkopolski opałać sobie nogi w pierwszym wiosennym słońcu: naprawdę idealne miejsce na randkę.

Z daleka, z ławki, zobaczyła Tite z wielkim handlarskim plecakiem: na pewno taszczy maszynę. A może stolek?

Potem w osobie, która oderwawszy się od grona tramwajowego, narychmiał zapaliła papierosa, bez trudu rozpoznała Isię.

Nim Tita na Chlewiku zdjęła plecak, Genowefa oznajmiła: – Ładny interes! Nawalila któraś M.117.

– Niel – Tite sprowokował z miejsca jej ton.

– Kro robił początek? Sprawdałam: nie czyta się.

Wciąż jeszcze z „chałupką” na grzbiecie Tita wsadziła nos w małą, i nieco krzywą bazę ze strzępiastymi paskami alfabetu. – Masz! Opuściłaś „ę”. Chciałaś na gwalt znaleźć dziurę w całym!

Genowefie poczerwieniały uszy. Od trzech lat nie zdarzyła jej się pomyłka: przynajmniej żadnej nie pamiętała.

– Spieszyłam się – mruknęła – bo pewnie Wilczek zaraz... Ale dół, wszystko jedno, coś nie wychodzi!

– Po prostu jedna grupa zmyłona, albo może skróót.

Isia, stanąwszy nad nimi, nałożyła okulary. I naraz zgasiła papierosa.

– Którego dziś mamy? Prędeje!

Obejrzały się.

– Drugiego maja, tak? To na kwietniowe jest jeszcze hasło, o, to?...

– Kwietniowe oczywiście. I patrzcie dalej, że dobrzel!...

– Ale M.119 źle! – jęknęła Isia. I strąciła lokcien prymulkę. Genowefa schyliła się po skorupy, a Tita cisnęła plecak na jedwabną batikowaną poduszkę.

– Dlaczego? – zaprotestowały obie jednocześnie.

– Dlaczego! Bo było to samo hasło, a...



- Wydaje ci się.
– Jak możesz pamiętać całe hasło?
– Dziewiątka i ósemka były na początku... No! Czuję tu nosem knota! Masz śmietnik ze sobą, Tita?
– Nie mogłam nosić śmietnika razem z maszyną!
– No to ja leczę zaraz na Górkę. Tam kopie są? Do lufru, mówię wam!
– Jak przyniesiesz, zobaczymy...
Zjawisz się z koleji, Nula zastała na Chlewiku już dosyć normalny nieporządek.
A Łapcia – milczenie i wrogie miny. Właśnie Genowefa oznajmiła, że tylko ona jedna pamięta o sprawdzaniu roboty, a Tita gryzła się w język, żeby jej serio nie zrugać.
– Una przyjdź! – przypomniała Łapcia, nie dopytując się taktywnie o nic – Boże, jak to się zdaje dawno... Nie uważacie?
– Dwa meldunki bez niej...
– Trzy, ściśle biorąc.
– Taka nowa rachuba czasu.
– Dorota i Isia już z nią gadały. I wyobrażacie sobie, że wszyscy – ona tak mówi – bali się przedtem okropnie i jeden drugiego pytał, czy aby dentyстка delikatnie boruje; a jak wlaźło Gestapo – prawie ulżyło im.
– No, przesada chyba.
– Une przestał nagle żąb boleć. I przeczytała pół *Potopu*.
– Dziwne. Bo ja jednego, czego się naprawde nie boję, to dentysty – zastanowiła się Nula. – I nawet myślałam nieraz, że jest coś takiego: dentystryczna odwaga i sportowa. Choć ktoś jest sportowy tchórz...
– To racja – przerwała Tita, podnosząc palec. – Skoczyć gdzieś czy polecieć, czasem hadko. A wysiedzieć zawsze można. Ale... lepiej nie u dentystryki.
Uśmiechnęły się. Nieczęsto wzbierała w tym gronie wena wspomnień.
– Równie dobrze możemy się przyznać – zaczęła Łapcia. – Dopóki nie widać Wilczka, kto się czego najwięcej w życiu przestraszył...
– Bujanie obowiązuje: byle krótko.
– A gdzie to Isia?
– Skrupulatami zaraziła się od ciebie, Łapcia, i poleciała na Górkę. No więc... – Tita zrobiła swoją minę kabalarki. – Ale ja serio powiem. Lat

- temu niemało...
– Zawsze serio się buja!
– Na pustej ulicy w Kozim Grodzie Lublinie smutak sen młodociany o szczęściu.
– I zostałaś przejechana?
– Brutalna jesteś, Nula. I nielogiczna. Po prostu usłyszałam kroki za sobą. Takie ciężkie jakby żelazne – od razu nasunęło mi się: Kroki Losu. Oglądam się. Żebrak. Ale taki okropny jak w Lublinie bywali. Wernyhora jakiś widmowy czy Żyd Wieczny Tutacz... Słowo wam daję, że mi się zimno zrobiło.
– No, w rzeczy samej zeszedliśmy trochę na dziady.
Ale Nula wspomniwała kobietę spotkaną kiedyś nagle na zakręcie schodów szpitalnych; ze zwałem bandazy tam, gdzie powinna być twarz; istotnie taki widok bierze się jakoś bardzo do siebie.
– Mnie przestraszyło coś całkiem innego – Genowefa na moment jakby zacięła się, nim oznajmiła: – Bardzo elegancki rotmistrz.
– Takie wrażenie na tobie zrobił?!
– ... z drewnianą nogą do kolana, ale musiał być świetnym jeźdźcem. Nie pamiętam nazwiska, szwależer.
– No i?
– Więc podczas obłężenia... Dwudziestego piątego września, pamięracie ten fajer? – większość sztabowców i większość pezetek (czy jak wrenczas się to nazywało) urzędowała w piwnicach. Ale nie mój rotmistrz. Dowodził plutonem grzejącym do messerschmittów i heinklów z karabinów. To dodawało ducha wojsku i cywilom. Młodziaki z podchorążówki wystrzelali amunicję, no i wszyscy nie mieliśmy już ani co jeść, ani co pić, ani co palić, a szkopy grzmocili coraz lepiej. Więc on nam wredy opowiedział, jak stracił nogę w dziewiętnastym roku pod Lwowem i leżał w śniegu, a nakoło Ukraińcy – odgadł przekonał się, że nie ma sytuacji beznadziejnych. A mnie nagle, wiecie, wydało się, że on jest cały z drewna – ten „pistolet”, jak mówili o nim żołnierze: bez jednego nerwu. Nie śmiał się nawet, prawie ziewał.
– No to co? – Tita, zdziwiona nagłą swadą Genowefy, jeszcze więcej zdziwiła się milczeniem zamiast finału.
Nikt nie zwrócił uwagi na błysk okularów Łapci. Otworzyła usta i zamknęła.

III 13/20



– I dopiero trochę potem – podsunęła wreszcie – nasraszyłaś się?

– Tak!

– Ciekawe. Ale wiesz, rozumiem cię! – Najdziwniejsze może, że właśnie Genowefa opowiedziała taką rzecz... Ona, która też, zdawałoby się, bywa z drewna i uważa, że wszyscy powinni być tacy.

Ale to jeszcze nie cała historia. Czy Genowefa widziała ten sam co Łapcia jej sens? Nieruchomy kapitał dawnej, młodzieńczej odwagi zastępujący wszystko... Dowódcy-„pistolety”, którzy mają całkiem nieumerwione – także i wnętrza. Nie każdy, oczywiście, ale...

– Ja go znam, zdaje mi się, twójego kawalerzystę. W Trójce, w Fabiani – ale tu Łapcia urwała, bo złąka się tego, co zaczęła mówić.

... Odpowiedzialności Prawdziwa, dojrzała, nieskostniała. Alboż ona sama bywa zawsze odpowiedzialna? Ech, Boże.

– A więc wytnika z tego, moje kochane – orzekła Nula – że każdy powinien mieć przydział cykorii.

– No, niekoniecznie.

– Unali! – Łapcia zerwała się.

Przez okno zobaczyła ją przy furcie, a w trop za nią Wilczek tak podskakiwał, że aż pinczerek wylegujący się na parapecie siadł ze zdumienia i prawie szczechnął.

– Znajoma, tylko trochę zapomniana potwarz – mruknęła Una, uwalniając się od uścisków w progu. Ale na próżno: wbrew Zabieniu zwyczajowi „obliżywały” ją dzisiaj wszystkie.

– A gdzie Dorota? – zdołała wreszcie spytać, zrzucając wiatrówkę.

Na niezwykły rozruch w przedpokoju wysunęła głowę Pani Pulchra i zaraz schowała się.

W moment potem zapukawszy wymamrotała coś z tajemniczym rumieńcem i przyciągnęła Unę za rękaw.

– Oddam coś pani – obwieściła samym niemałym ruchem warg, kryjąc się za kotarą z pluszu – która to konspiracja w konspiracji nie spłoszyła powagi z przetrzyczystego oblicza Szczurka.

– Znalazłam to... Było w kłó pod wiadrem ze szczotkami. Ale w pochwę, nie zamokło.

Z niedowierzaniem wpatrzyła się Una w celofanowy mapnik. Teraz poróżwiała nawet ona, gryząc wargi, żeby się nie rozśmiać.

– Dziękuję pani bardzo. I przepraszamy! To rzeczywiście nasze.

– Nie ma za co. Cieszę się.

– Jest za co.

Na widok rozweselenia Uny madame omal nie rozplynęła się i mrużąc jakież zapewnienia znikła, by oznajmić triumf siostrze w kuchni.

Czy też która z nich się domyśla, jak dawno o sławetne mapy spoczywały w przejściowym czyścicu, nespuszczzone – na szczęście; ale też nie zamielinowane. I zapomniane (Boh z durakom)!
– Baby – Una cicho zamknęła drzwi za sobą. – Tyłko, proszę was, nie wrzasnijcie.

Prawą rękę trzymała za plecami. – Jesteśmy po prośnu zhańbione. Sabina nabijać się z nas będzie do późnej starości. Nie, nie próbujcie nawet zgadywać.

Wyciągnęła prawicę: – Oto mapy.
– To niemożliwe – zaprotestowała trzeźwa Nula.

– Mapy!

– TU były?!
– No przecież madame nie urodziła ich dla naszej przyjemności. Były tu cały czas!

– Pokaż! Może wymalowała przez gorliwość?
– Sama szukałam i głowę bym sobie dała uciąć... – Ale nawet Genowefa musiała ulec oczywistości.

– Isiał! Jesteśmy zgubione – wyskandowała Tira do wchodzącej.
– Czekaj... A gdzie Dorota?
– Ależ p o p a t r z.

– Oko ci zbieleje.
– A co z M.119? – przerwała Genowefa. – Masz kopię z Górki?

– Mam, moje kochane, ale nie z Górki... Ufi! „Gdzidem nie był, com nie cierpiał!” Włamałam się do ciebie, Łapcia, i...

– A ja mam siedem depesz! – wrzasnął Wilczek niemogący zwrócić na siebie uwagi.

– ... parszywe 119 sknoczone faktycznie, mam smutny honor zaznać – Isia omal nie przewróciła się na skorupie z eks-doniczki. – A gdzież Dorota?

– Dorota? Pewno na Górcę...

– Skądże, byłam. Gdzie poszła od was?

– Wcale jej tu nie było.

– Co? Przecież dwunasta... czy też mój zegarek nawala?

III 131 402



- Przed wszystkim k t o nawalił M.119, chciałabym wiedzieć!
- Przeszła, Genowefa, z wiecznym śledztwem! W pół tuzina, z tobą włącznie robiliśmy – i to wszystkie nosami się podpierał!
- Możeś ty spała, bo ja nie.
- Co to? – Isia w tej chwili dopiero zobaczyła mapnik. Wyrwała go z ręki Tity. I spojrziała na nią podejrziwie, jak na prestidigitatora z krótkim.
- Madame oddała! Tak, tak: mapy! A ty dawaj tanto swoje...
- Jak to oddała? Madame?
- Zrozumienie eksplodowało nagle obliczu Isi.
- Chlewik... Na Chlewiku! Czyste mieszkanie! – obsunęła się na poduszkę, parskając urywanym, kaszłącym śmiechem. – Una, nie moge! Czyście mieszkanie... Nie, dajcie spokój! Przecież rewizja szkopska tu była i my robiliśmy prawie że dezynktę, i Maciejka wpelzała w szpary.
- Dwa razy było spalone, trzy razy czyste, a mapy cały czas urzędowały w klo! Więc daj tę kopię.
- Isia wysuplała ją z paska i rozejrzała się, nagle poważniejąc.
- Una, tu może jest malutki tylko błąd, ale wołę polecieć i zobaczyć, czy Dorota nie przyszła tymczasem na Górkę. No i chcę jej powiedzieć o mapach.
- Zaraz... już wiem! Dorota miała dzisiaj spotkanie! Nie rób paniki, Isia!
- (Isia tyle tylko, że wstała z poduszki na podłodze i nie zapaliła papierosa). – Jakże, Una?
- Ktoś miał jej przekazywać instrukcję.
- Kurier?
- Chyba. Mówiła, że odbierze nowy haft.
- Kiedy?
- Rano. Tak, jakoś rano – Una odpowiadała coraz wolniej. – Ale gdzie, nie mam pojęcia.
- Nula wzięła w milczeniu kopię M.119, a Genowefa depeze od Wilczka.
- Sprostowanie do 119 – mruknęła Una – trzeba zaraz pchnąć przez Jotów.
- Ale jak sprostowanie, póki nie znajdziemy byka? A może lepiej robić od nowa, bo jutro poczta?

- Tylko że tutaj mam dwa konie z dalszym ciągiem, a jedno KKK – stwierdziła Genowefa bez zwykłego apetytu.
- I dalsze ciągi obiecali Joci na dzisiaj jeszcze. Ale może bym na przód skoczyła...
- Nic „ale”, Wilczek. Pójdiesz do Jotów i spokój. No i róbmy już w końcu – Una wyładowała zeczki naręcz bibułki i kratki. – A jak Doroce oddamy wykopalisko, nie zgryzie się bardzo nawalanka.
- Powinno od czasu do czasu coś nawalić! Dla równowagi! – Wzróżbność Tity była dzisiaj nieco szuczna: – Ja mam ogólnie dobre przeczucie.
- Nie miej lepiej żadnego – Una obliczyła hasło z szybkością arytmometru. – Wtenczas, jak zjadalam „sady”, miałam raczej złe przeczucie.
- Nie przekadajcie! – warknęła Nula nad kartką M.119. – Od tych głupstw z przeczuciami można dostać gęsiej skóry.
- Cicho bądź sama. Nastroje schowaj do kieszeni.
- Tu coś będzie o zrzucie, w tej KKK – wtrąciła Genowefa pojednawczo. – Jedziemy, łapcia?
- Jedziemy. W wilku rak kot.
- „W ślad”, bąk – odpowiedziała, przesunąwszy paski Genowefa.
- W zerze siedem zero – obwieściła Tita pod lustrem.
- Zaśniecony już gruntownie salonik odnalazł znajomą melodię notonowego czwórghosu.
- W capie pies lis... – Depesza była na litery, w robocie zastępowane zwierzętami, a meldunek pocztowy na cyfry.
- Czy ci co wychodzi, Nula?
- Dotąd nie. W dwójce pięć cztery.
- Dorota przyszła? – od drzwi zabrzmiało zdyszane pytanie Wilczka.
- W dwójce sześć osiem... W kocie tur mysz... – zaszemrało zamiast odpowiedzi.
- Co masz? – podniosła głowę Una.
- Pierwsza godzina – stwierdziła Tita pod nosem. – W zerze dwa dwa.
- Te dalsze ciągi Komara, ale pisał, widzę, naszym nowym ołówkiem! – odważnie, grubym głosem zameldował Wilczek.
- Jedna jedyna Nula nad kolumną obliczeń tak jakby zdolała się odebrać od rzeczywistości.
- Nie dyktuj mi, Tita. Bierz się lepiej do „od”, bo ja tu muszę na przód dobrym końcem rozumem sama ruszyć.



III/131 43



14.13/44

- W dziku toś toś...
- W lisie „buka” zubr...
- I Wilczek po półgodzinie dopuszczony został do dyktowania. Gdy Una zasiadła do maszyny pisać gotowe już czystopisy-clairy.
- Która u ciebie, Łapcia? – spytała, wystrzelwszy jak karabin maszynowy tabelkę zrutowanej broni.

- Już za dziesięć drugą, Una.
- Ja jednak pójdę na centralkę.
- Tobie nie wolno się kręcić.
- Głupstwo, pójdę.
- Nie, Una. Tyś tutaj powinna zostać.
- ... W osie pies geś... „Powrócił do bazy...”
- Myślisz, Łapcia?
- W kocie cap tur. Tak, to o „Moście”! „... bez wypadku!”
- ... Ja muszę na noc zabrać ten 119... – Lecz tu zniechęcona Nula naraz zerwała się, jakby tknięta narchnieniem. Patrzyła w okno: – Sabina idzie – szeptała.

- „... i potwierdzamy odbiór”... Układ, Genowefo! Uwierzaj.
- W geśi kot igrek.
- Gdzie jest Dorota? – zapytała Sabina, tak samo jak Wilczek: od drzwi.

Przez moment milczenia, które było odpowiedzią, zlustrowała uważnie wszystkie twarze, rozpięła się i usiadła.

- Za połową potrzebnych ludzi uganiam się dziś po całym mieście, jakby się umyślnie pochowali – podniosła brwi i poprosiła Isię o ogień.
- A czy wiesz choć, Sabina, gdzie ona dziś miała być?
- Tyle wiem na razie, co i wy. Ale po prostu stanęły, zdaje się, i stoją tramwaje na Grochów i na Godawek.
- Znów była cisza, ale już cokolwiek inna.
- Dawno? – A na Górze czyś była teraz? – przemówiły Nula i Isia, jakby podtrzymując rozmowę.
- Sabina, patrz: oddają mapy – Una wyjęła paczkę spod różowo-złotej poduszki. – Przy świadkach, kobieto, żebyś nas nie nudziła więcej.
- Tupet masz, Una: a ktoś to przysięgał, że nie macie i nie wiecie? Mnie, a nie wam wiercili o nie dziurę w brzuchu. Naprawdę powinnyście się przewzać Flądry, a nie Żaby!
- W nosie cap buka – podjęła z obrazą Genowefa.

162

- I nigdy już nie będę wierzyć w wasze czyste lokale!
- Co znaczy „buka”? – spłoszył się Wilczek.
- Dziura; jak nie dosłyszał i...
- Dlaczego buka?
- Cicho. Tak! „Odbiór z „Mostu« M.119”... Zaraz nas rugną za knotal

– Masz tutaj pocztę, Sabina – Una zaadresowała do trzech komórek wykaz broni. – Idziesz?

– Idę.

– A dasz nam znać?

– Nie dam wam znać, bo na pewno sama Dorota wkrótce przyłeci, klnąc komunikację miejską. Mało razy ktoś się spóźnia? Nerwowe z was się zrobiły płazy – czy też gady, bo nigdy nie wiem.

– W buce wilk pies – przerwała Łapcia z energią.

– Zaraz! Już widzę, co jest o 119. Przeczytali... tak, „czytamy mimo pomylki”. Wilczek, uwierzaj, przeskokczyłaś linię. Nula, zabierz jej to, bo już nie potrzebujesz łamać sobie głowy...

– Sabina, jedna minuta. Kończą tu jeszcze kawaleczek – Una oparła się na parapecie okna, z którego zeskoczył biały piesek. – Kończycie, Łapcia? Która godzina, Sabina?

VII – 1954

Poległym:

„Zanci” – Halinie Dadejowej

„Ewie” Stefanowskiej

„Martysze” Kozmińskiej

z „Karolinek”, zwanych później

„Bajką”, „Przed szkołą”, „Konsulatem”,

z V KG AK.

Opowiadanie niniejsze nie jest kroniką. Osoby nie są portretami, raczej rozszczępieniem, krzyżówką lub aluzją do pierwowzorów. Możliwe wyniki z tego portret zbiorowy komórki, także jednak niekompletny.

Hanna Malewska

163

W korespondencja



FUNDACJA

"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 11.07.08

L. dz. 1319/MSK-412/08

Załączniki: + ksero oryg.

Referent:

Bertowska Sylwia
Basia

W-UNA

Warszawa dn.03.07.08.

Fundacja „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek” w Toruniu”

Przesyłam w załączeniu materiały jakie pozostały w rodzinie po śmierci Barbary Smoleńskiej. Wiadomo mi, że wiele pamiątek przekazano już do muzeum Powstania Warszawskiego ale jako, że Ciocia Basia była osobą samotną to nikt się upamiętnianiem jej nie zajmował. Teraz, jak sądzę pojawiła się taka szansa.

Dla mnie takim impulsem było ukazanie się w miesięczniku „Znak” (lipiec sierpień 2006) opowiadania Hanny Malewskiej „Czyste mieszkanie” oraz wysłuchanie audycji na jego temat w tymże roku. Czytając bez trudu odnalazłam sylwetkę naszej Cioci Basi, jest to osoba o pseudonimie Una. Przesyłam xero tego opowiadania. Strona 114 pozwoliła mi rozwiązać wątpliwości.

Una nie nosi przy sobie cyjankali bo już raz próbowała odebrać sobie życie i po raz drugi tego nie robi. Nie powinna też znaleźć się w więzieniu, bo ona już więzienie przeszła. Szczegóły identyfikujące – nie jest to Lwów, a Mińsk białoruski i niczego nie połykała, a wbiła sobie igłę (obok serca). Wśród załączonych materiałów jest zaświadczenie z 1946 roku wydane przez Klinikę w Heidelbergu opisujące wynik badania rentgenowskiego. Z igłą tą chodziła do końca życia.

O pobycie w mińskim więzieniu opowiadała mnie już po śmierci Cioci Basi jej przyjaciółka Antonina Burzyńska z domu Rojowska, także szyfrantka z tej samej komórki Hanny Malewskiej (w opowiadaniu najprawdopodobniej dziewczynka w okularkach). Chcąc złamać przesłuchiwaną Barbarę pokazano jej dowódcę w którym była zakochana jak pali papierosa na sali przesłuchań. Odebrała to zgodnie z zamierzeniem oprawców, że zaczął sypać. Zupełnie się załamała i po powrocie do celi powiesiła się na sznurze z prześcieradła. Zdjął ją w porę klawisz który kontrolował sytuację. Wtedy postanowiła wbić sobie w serce dość dużą igłę, którą pożyczwały więźniarki od dobrego klawiszu. Myślę, że mógł to być wielki Białorus zwany Sowiookim, o którym pisze Grażyna Lipińska w książce „Jeśli zapomnę o nich” (str. 112), a którego sowieci w końcu zabili.

Barbara Smoleńska z igłą na granicy osierdzia weszła w proces wielkiego nawrócenia, które nigdy nie miało ani cienia dewocji. Faktycznie odbieranie sobie życia już od tego momentu nie wchodziło w rachubę i to niezależnie od sytuacji. Dalej wyglądało to tak, że Ciocia uciekła z kilkoma innymi z tzw. marszu śmierci, opisanego przez wspomnianą już Grażynę Lipińską. Marsz ten zorganizowali Sowieci po wkroczeniu Niemców do Białorusi. Uciekiniarki musiały omijać zamieszkałe okolice w obawie przed denuncjacją. Jedna z nich umarła w drodze. Zdarzyło się też, że znalazły w śniegu cały bochen chleba, co w tych okolicznościach uratowało je od głodowej śmierci. Szły bardzo długo, bo do wiosny następnego roku, przez Wilno i Ostrą Bramę. W Cioci pokoju był tylko jeden święty obrazek, była to Matka Boska Ostrobramska. Wiadomo, że po tej wędrówce Barbara Smoleńska odzyskiwała siły i zdrowie w jakimś polskim majątku ziemskim. W opowiadaniu „Czyste mieszkanie” występuje Genowefa jako opiekunka Cioci z tego okresu a tak na imię miała rodzona siostra jej ojca, po mężu Sarbiewska, więźniarka z Rawensbrick.

Zastanawiam się dlaczego powierzono jej po tym wszystkim tak odpowiedzialne zadanie i dochodzę do wniosku że poza niewątpliwie sprzyjającą sytuacją rodzinną pełną samodzielność i chęć zemsty za śmierć brata Władysława (był w armii Kleberga – zginął pod Wolą Gułowską) musiała być naprawdę dobra merytorycznie. Ślady dawnej świetności obserwowałam na własne oczy i pamiętam, że z prawdziwą rozkoszą, dosłownie błyskawicznie

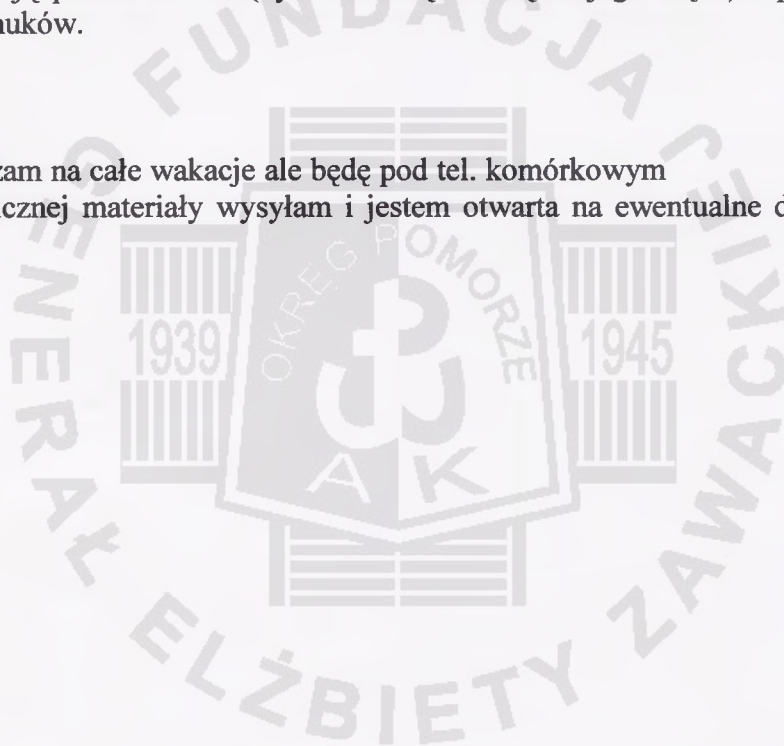
rozwiązywała krzyżówki z Przekroju, potem biegiem wysyłała; stąd w domu cała kolekcja książek, które redakcja przysyłała w nagrodę.

Jako odrębny materiał załączam pracę swego syna, który w 1980/81 roku, mając podówczas lat 13 przygotował dla swojej drużyny harcerskiej jej życiorys sporządzony w oparciu o rozmowę z samą bohaterką.

Wśród załączonych materiałów jest też duży wierszowany utwór który był w posiadaniu Cioci Basi – „Msza więzienna”. Porównałam z tekstem zamieszczonym w książce. Grażyny Lipińskiej, naniosałam zmiany i doszłam do wniosku, że tekst naszej Cioci był spisany z pamięci.

Na koniec warto zatrzymać się na moment nad kwestią cenzury tak dotkliwie osaczającą naszą Ciocię Basię. Nie należała do ZBOWID-u, miała bardzo niską emeryturę a w życiorysie lukę (w załączonych materiałach życiorys pisany własnoręcznie), ale nie siedziała za AK w więzieniu jak jej niektóre koleżanki. Opowiadała kiedyś o takiej, która urodziła na Rakowieckiej małeństwo i jak się tym dzieckiem zespołowo opiekowały. Nigdy nie mówiło się, żeby nękała ją służba bezpieczeństwa. Przy jej sposobie życia może było to możliwe - zawsze skupiona, mało mówna, o specyficznym, często wisielczym humorze. Bardzo ciepło ją wspominam, znałam ją prawie 20 lat (była rodzoną Ciotką mojego męża) i próbuję szerzej opisać dla dzieci i wnuków.

PS: Obecnie wyjeżdżam na całe wakacje ale będę pod tel. komórkowym Obiecane w rozmowie telefonicznej materiały wysyłam i jestem otwarta na ewentualne dalsze kontakty oraz wyjaśnienia.



FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Przyjęto dnia: 11.07.08
dz. 1319/MSK-412/08

załączniki: + ksero oryginału
referent:

Barbora Smoleńska Sylwia
Basia
W-ian

Warszawa dn.03.07.08.

Fundacja „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek” w Toruniu”

Przesyłam w załączeniu materiały jakie pozostały w rodzinie po śmierci Barbary Smoleńskiej. Wiadomo mi, że wiele pamiątek przekazano już do muzeum Powstania Warszawskiego ale jako, że Ciocia Basia była osobą samotną to nikt się upamiętnianiem jej nie zajmował. Teraz, jak sądzę pojawiła się taka szansa.

Dla mnie takim impulsem było ukazanie się w miesięczniku „Znak” (lipiec sierpień 2006) opowiadania Hanny Malewskiej „Czyste mieszkanie” oraz wysłuchanie audycji na jego temat w tymże roku. Czytając bez trudu odnalazłam sylwetkę naszej Cioci Basi, jest to osoba o pseudonimie Una. Przesyłam xero tego opowiadania. Strona 114 pozwoliła mi rozwiać wątpliwości.

Una nie nosi przy sobie cyjankali bo już raz próbowała odebrać sobie życie i po raz drugi tego nie robi. Nie powinna też znaleźć się w więzieniu, bo ona już więzienie przeszła. Szczegóły identyfikujące – nie jest to Lwów, a Mińsk białoruski i niczego nie połykała , a wbiła sobie igłę (obok serca). Wśród załączonych materiałów jest zaświadczenie z 1946 roku wydane przez Klinikę w Heidelbergu opisujące wynik badania rentgenowskiego. Z igłą tą chodziła do końca życia.

O pobycie w mińskim więzieniu opowiadała mnie już po śmierci Cioci Basi jej przyjaciółka Antonina Burzyńska z domu Rojowska, także szyfrantka z tej samej komórki Hanny Malewskiej (w opowiadaniu najprawdopodobniej dziewczynka w okularkach). Chcąc złamać przesłuchiwaną Barbarę pokazano jej dowódcę w którym była zakochana jak pali papierosa na sali przesłuchań. Odebrała to zgodnie z zamierzeniem oprawców, że zaczął sypać. Zupełnie się załamała i po powrocie do celi powiesiła się na sznurze z prześcieradła. Zdjął ją w porę klawisz który kontrolował sytuację. Wtedy postanowiła wbić sobie w serce dość dużą igłę, którą pożyczyły więźniarki od dobrego klawisza. Myślę, że mógł to być wielki Białorus zwany Sowiookim, o którym pisze Grażyna Lipińska w książce „Jeśli zapomnę o nich” (str. 112), a którego sowieci w końcu zabili.

Barbara Smoleńska z igłą na granicy osierdzia weszła w proces wielkiego nawrócenia, które nigdy nie miało ani cienia dewocji. Faktycznie odbieranie sobie życia już od tego momentu nie wchodziło w rachubę i to niezależnie od sytuacji. Dalej wyglądało to tak, że Ciocia uciekła z kilkoma innymi z tzw. marszu śmierci, opisanego przez wspomnianą już Grażynę Lipińską. Marsz ten zorganizowali Sowieci po wkroczeniu Niemców do Białorusi. Uciekinierki musiały omijać zamieszkane okolice w obawie przed denuncjacją. Jedna z nich umarła w drodze. Zdarzyło się też, że znalazły w śniegu cały bochen chleba, co w tych okolicznościach uratowało je od głodowej śmierci. Szły bardzo długo, bo do wiosny następnego roku, przez Wilno i Ostrą Bramę. W Cioci pokoju był tylko jeden święty obrazek, była to Matka Boska Ostrobramska. Wiadomo, że po tej wędrówce Barbara Smoleńska odzyskiwała siły i zdrowie w jakimś polskim majątku ziemskim. W opowiadaniu „Czyste mieszkanie” występuje Genowefa jako opiekunka Cioci z tego okresu a tak na imię miała rodzona siostra jej ojca, po mężu Sarbiewska, więźniarka z Rawensbrick.

Zastanawiam się dlaczego powierzono jej po tym wszystkim tak odpowiedzialne zadanie i dochodzę do wniosku że poza niewątpliwie sprzyjającą sytuacją rodzinną pełną samodzielność i chęć zemsty za śmierć brata Władysława (był w armii Kleberga – zginął pod Wolą Gułowską) musiała być naprawdę dobra merytorycznie. Ślady dawnej świetności obserwowałam na własne oczy i pamiętam, że z prawdziwą rozkoszą, dosłownie błyskawicznie

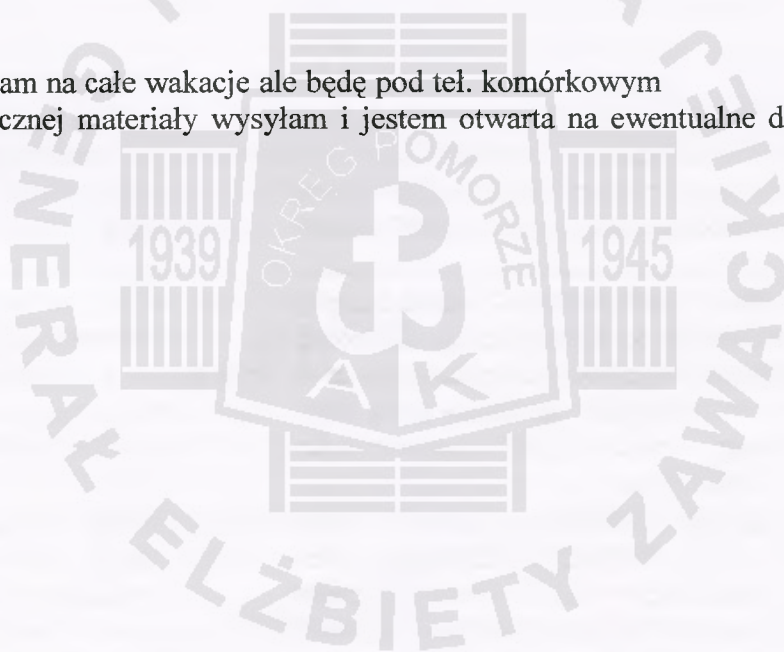
rozwiązywała krzyżówki z Przekroju, potem biegiem wysyłała; stąd w domu cała kolekcja książek, które redakcja przysyłała w nagrodę.

Jako odrębny materiał załączam pracę swego syna, który w 1980/81 roku, mając podówczas lat 13 przygotował dla swojej drużyny harcerskiej jej życiorys sporządzony w oparciu o rozmowę z samą bohaterką.

Wśród załączonych materiałów jest też duży wierszowany utwór który był w posiadaniu Cioci Basi – „Msza więzienna”. Porównałam z tekstem zamieszczonym w książce. Grażyny Lipińskiej, naniósłam zmiany i doszłam do wniosku, że tekst naszej Cioci był spisany z pamięci.

Na koniec warto zatrzymać się na moment nad kwestią cenzury tak dotkliwie osaczającą naszą Ciocię Basię. Nie należała do ZBOWID-u, miała bardzo niską emeryturę a w życiorysie lukę (w załączonych materiałach życiorys pisany własnoręcznie), ale nie siedziała za AK w więzieniu jak jej niektóre koleżanki. Opowiadała kiedyś o takiej, która urodziła na Rakowieckiej maleństwo i jak się tym dzieckiem zespołowo opiekowały. Nigdy nie mówiło się, żeby nękała ją służba bezpieczeństwa. Przy jej sposobie życia może było to możliwe - zawsze skupiona, małomówna, o specyficznym, często wisielczym humorze. Bardzo ciepło ją wspominam, znałam ją prawie 20 lat (była rodzoną Ciotką mojego męża) i próbuję szerzej opisać dla dzieci i wnuków.

PS: Obecnie wyjeżdżam na całe wakacje ale będę pod tel. komórkowym Obiecane
w rozmowie telefonicznej materiały wysyłam i jestem otwarta na ewentualne dalsze kontakty
oraz wyjaśnienia.



Stadonca /mystatam w lipcu
Sylvia Bertowska - Jablonie
ul.

10.10
1000

01-923 Warszawa ✓
tel. 022-

Material dotyczący /dwa
material

per. Helena Barbara
Smoleńska Wisłocka

pseudonim Piotrus oraz
Szelma

NI egz. duplikat kurtki
Warszawa-Białystok

niepewne w Mińsku Biało-
ruskim do niepełnego numeru

NI egz. syfrentka w V Obs.
stowarzyszeniu /nieznanym/
przez Hannę Malenską

dn 4.07.08,

Po rozmowie telefonicznej z Panstwem Fundacyp
pomyśletem jeszcze by dopisać, że
w latach solidarności, czyli ostatnich
latach życia Barbary Smoleńskiej
korzystała ona z rehabilitacji po
niepełnym wyliczeniu i w związku z tym
nieczyta się jakby od nowa nowie i
pisać. Stąd jakieś inicjatywy na
liczących kartkach to 1) swój podpis
a poza tym było to 3: Polsha,
Solidarności i Wataśa.

Pomyśletem, że to bardzo ważne by
dodać jeszcze do jej życiorysu.
Podyskutować z nią na tym etapie
życia już się nie dało, przestała do rozmów
była jej przyjaźń "the Ninko"
Bursyńska / wolne po Złotyśku Bursy-
skim stymu polskim kaleniarom / 83

T. 3882/wsk

AK

W-w

Powst. Warsz.

SMOLEŃSKA Helena Barbara

ps. „Szelma”, „Piotruś”

IV wypisy ze źródeł (zw. nazwiskowe karty informacyjne)

c

T. 3882 / WSK

IX '39
AK KO,
Powstanie w
W-wa Śródm.

^{xv} SMOLEŃSKA Helena Barbara

ps. "Szelma", "Piotrus"

Członek ZWZ, porucznik AK, uczestnik ruchu
oporu od 1939 r., kurier, szefant KG AK, ranna w
Powstaniu Warszawskim. Jeniec oflagów: Lamsdorf,
Mühlberg, Altenburg, Molsdorf, Hohenfelden
Blauenthal. Odznaczona czterokrotnie Medalem
Wojny, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem
Armii Krajowej. Zmarła w dniu 22.08.1981 roku.

VI Fotografie
- ksero - 9 szt.





U góry z lewej strony zdjęcie z 1945 r.
- matki - jeszcze w Niemczech.

Barbara Smoleńska ma obciętą
głowę z powodu wypadku ucha.



Antoine Burzyn'ska
 z domu Brojenska
 również z T. dekadu
 — są frontem
 przyjaciół
 Heleny Barbary Smoleńskie







SMOLEŃSKA Helena Barbara

